

## Jan Stolarz

Jestem urodzony w 1930 roku w miejscowości Warszawka, powiat Brody, województwo tarnopolskie. U nas było czterech braci, no i ojciec, i matka. W tej miejscowości zamieszkiwaliśmy do 1940 roku, do dziesiątego lutego. Ojciec zajmował się rolnictwem. Był osadnikiem, bo służył w Armii Hallera. Dziadek był pikudczykiem. W czterdziestym roku ojciec, matka plus czterech braci naszych, wszyscy w jednym transporcie się znaleźli i wszyscy trafili do jednej miejscowości – Sencybino [?].

Ale zacznę od początku. Z samego rana, jeszcze ciemno było, do mieszkania weszło dwóch żołnierzy rosyjskich (byli jeszcze w tych starych typach ubrań, w tych czapkach czubatych). Jeden krążył po mieszkaniu, rozglądał się, a drugi siedział i odpoczywał. My wszyscy zdenerwowani. „*Ubrać się.*” No, jak to ubierać się, po co? Matka pyta, co się stało? Za co? Gdzie? „*No – mówi – za dużo nie rozmawiaj, tylko się pakuj, masz piętnaście minut na wszystko.*” Żartowali jeszcze sobie, to pamiętam jak dzisiaj: „*Jeżeli masz dobrą siekiere i piłę to sobie weź, bo się przyda.*” Może oni już wiedzieli, czego to dotyczyło.

Zawieźli nas do punktu zbornego do szkoły, tam było największe w całej osadzie pomieszczenie. Bo tam, gdzie mieszkałem, to właściwie była osada, a nie wieś. Zwieźli całą ludność polską do tej szkoły i według listy wyczytali, sprawdzili wszystkich dokładnie, ile nas jest. Postawili sanie i ładowali ludzi, trochę jakiegoś bagażu: coś do zjedzenia, osobistą odzież, coś tam jeszcze, kożuchy, poduszka jakaś. Z tej szkoły zawieźli nas na dworzec do wagonów.

Wagony były towarowe. Deski w nich były porobione, półki takie nieheblowane, niestrugane, taka świeżyna. Chyba po jednej stronie trzy i z drugiej strony trzy, bardzo nisko jedna w stosunku do drugiej. Mieli wygodniej ci, co na górnej półce się znaleźli, na dolnej półce było bardzo źle, i zimno, i niewygodnie i po prostu powietrze nie bardzo. Sanitariatów w wagonie żadnych. Drzwi zasunęli, jeszcze kilka razy sprawdzili, wyczytali ludzi, ile w wagonie jest, zamknęli. Okna zadrutowane, też zamknięte. Po iluś tam godzinach, otwierali i pytali, ile nas jest, sprawdzali według karty. Wtedy po wodę gotowaną kazali iść. Od czasu do czasu rzucili parę bochenków chleba. A chleb był nawet czasami zamrożony na kość. Trzeba było czekać, żeby go trochę zjeść. I czasami dwa wiadra jakiejś zupy, albo jedno wiadro na zupy, a jedno wody gotowanej. Przez pierwsze dni to jeszcze coś niecoś było do jedzenia z tego, co zabrane z domu, dopiero później dawało się we znaki, kiedy już dojeżdżało się do celu.

Nie mogę dokładnie określić, jak długo jechaliśmy, ale przypuszczam, że około miesiąca.

Przy każdym wagonie stał strażnik, jak otwierali drzwi. Strażnik z karabinem gotowym do strzału. Żeby ani jedna mysz się nie prześlizgnęła. Na niektórych stacjach ludzie jednak wyskakiwali, jak się tylko udało ująć uwadze strażnika. No to węgla gdzieś troszeczkę ukradli, podkłady kolejowe do wagonu wnieśli.

Potem musieli gdzieś deski kombinować, bo przecież nie było sanitariatów. W podłodze wyrabiali dziurę i wstawili tam jakieś stare wiadro, i już można było jakoś załatwić się. No przecież ludzie, bądź co bądź, trochę kultury swojej osobistej mieli, nie żeby jedno przy drugim się załatwiał. Nie wypadało. Więc zasłonili jakimś kocem, po prostu stworzyli warunki, żeby jakoś godnie w tym być.

Przywieźli nas na miejsce. Konosza [?], do stacji Konosza [?] nas przywieźli. Noc, stacja kolejowa, jeden budynek, nic więcej. Stał z kołniami, ludzie... I wszystkich: „*Wysiądać!*” Wszystkich z wagonów powyrzucali i dalej według list, według rodzin: wszystkich wywozili dalej, w dalsze, inne tereny. I nas wieźli...

Trafiliśmy do kołchozu Sancybino [?]. Umieścili nas w barakach. Baraki na pewno budowali jacyś inni zesłańcy. Bo tam jeszcze byli Rosjanie, zamieszkiwali dawniej Ukrainę, tam byli zesłani za kułactwo. Spotkaliśmy tam też Niemców bardzo starych, też zesłanych. Pracowali w tym kołchozie.

Barak był dość długi. Przy jednym podejściu jedna, dwie, trzy, cztery, sześć rodzin. Pomieszczenie na jedną rodzinę na sześć osób nie było większe jak to. Prycza zrobiona, w narożniku trochę słomy, chyba dwa snopki, piec murowany, normalnie z cegły, i parę kawałków drzewa było w tym pokoju. Ale podłoga taka szczelna, że po prostu... Bo te baraki to one stały nie postawione zaraz na fundamentach, tylko na takich palach, a pod spodem... W dzień jak się popatrzyło, to pod spodem było po prostu widać śnieg, wszystko było widać pod tą podłogą. Taka to była podłoga. Belki cięte na pół i odwrotnie składane. Trzeba było to wszystko uszczelnić czymś. My po prostu brali kawałki drzewa, od spodu przybijali, mchu trochę, różnie. A ten barak stał na słupach, bo jak wiosną tajały śniegi, a śniegu było dużo, to po prostu pod barakiem płynęła rzeka, wody było po kolana. Te pale, słupy wysokie były na metr.

A co do żywności, to państwo radzieckie nie za bardzo się nami interesowało. Sprawdzili, czy żyjemy i więcej nic. Tylko ludność miejscowa zainteresowała się nami – przywieźli ludzi, trzeba było zobaczyć, co to za ludzie. Po prostu z ciekawości. No i nawiązali jakoś z nami kontakt. Tak jak umieli, rozmawiali z nami. No i oni, chociaż sami niewiele mieli, dzielili się z nami. To przyniosła jakaś kartofli parę sztuk, kawałek chleba, co kto miał. Tak my się parę dni żywili. Dopiero po kilku dniach władza radziecka zainteresowała się nami. Wodę gotowaną przywozili, stawiali w jednym punkcie w beczce, trochę zupy, po kawałku chleba. My raz zjedliśmy i to było wszystko.

Po kilku dniach zrobili selekcję: wszystkich na plac zebrali, matki, dzieci, bo tam plac jest między jednym a drugim barakiem, taka przestrzeń dzika, drzewa, wszystko tam było. I posortowali wszystkich. Matki z dziećmi



do czternastu lat zostały na miejscu. Dziewczęta i chłopcy powyżej czternastu lat (osobno dziewczęta, osobno chłopcy) i osobno mężczyźni szli do pracy. Niektórzy byli starzy, to zostawili ich, nie ruszali, ich do pracy nie gnali. Ja byłem trzydziesty rocznik, to miałem wówczas osiem lat, najstarszy brat był dwudziesty piąty rocznik, Stefan trzydziesty drugi rocznik i najmłodszy był trzydziesty piąty rocznik. I nas rozdzielili. Nikomu nie powiedzieli, gdzie, jak i co? I czy w ogóle się zobaczymy. Nic nie powiedzieli, nic. Zapytałem nawet: a kiedy my wrócimy? Ale nic: do widzenia, koniec i już, rozstajecie się. Wojskowi tak nami zarządzili, uzbrojeni byli, ani jeden nie przychodził jako pracownik cywilny.

W barakach nie pilnowano nikogo, można było wyjść z baraków. Żadnej straży. Było takich dwóch: naczelnik i jego zastępca i to była cała władza tego terytorium, całutka władza. Naczelnik był wszystkim, władzą wykonawczą, sądową, on wszystko załatwiał, wszystko. Jak kogoś trzeba było ukarać za jakieś małe przestępstwo, to on karał, a nawet mógł zastrzelić. Miał takie prawo i koniec. Bo było takie zarządzenie, odczytali takie zarządzenie.

Co najważniejsze, nie wolno było kontaktować się klatka z klatką, to znaczy: jak barak był dwuklatkowy, taki że z jednej i drugiej strony było wejście, to nie wolno było z jednej klatki do drugiej klatki przejść, nie wolno było się zbierać. Latem przed budynkiem nie wolno było śpiewać pieśni, nie było można rozmawiać, wejść gdzieś na jakąś ulicę, aby z kimś się spotkać. Ani z Ruskimi, ani z naszymi polskimi rodzinami. Nawet dzieciom z dziećmi nie wolno było. Taki rygor.

Przebywaliśmy w tej miejscowości chyba z rok, później nas przerzucili do innej miejscowości.

Więc rozdzielili rodziny. I to wszystko z przeznaczeniem do pracy w lasach. Mężczyźni z chłopcami mieli za zadanie karczowanie lasu — wycinali las pod uprawę. Już był zabrany mój brat. Myśmy zostali przy matce. Matka musiała pójść do pracy do kołchozu.

Taki co poszedł do pracy, tylko jak wykonał normę, a był w pobliżu, to mógł wrócić raz na miesiąc do domu, do miejscowości gdzie byli rodzice, i wymienić sobie bieliznę lub coś innego. A jeżeli nie wykonał normy, to nie. To była nagroda, zobaczyć się. Po jakimś czasie i to się zatarło, nie pozwalali w ogóle spotykać się nikomu, ojcu z matką, z żoną, dzieciom z matką, nic, absolutnie. Nie ma, zakazane i koniec.

Las to nie była praca mocno hańbiąca i utrudniona, bądź co bądź to świeże powietrze i tylko tyle, że człowiek ograniczony w ruchu, ubezwłasnowolniony, nadzorowany. Ale masz to i to zrobić, poskładać, wyciąć, zrobisz, wolny jesteś. Zaczynali pracę wcześniej rano i robili aż do schyłku, aż się robiło ciemno. Nie było, że osiem godzin i koniec, od świtu do zmroku. Taka praca.

No jedzenie... W lasach, tam gdzie pracowali, dostawali w zależności od wykonania pracy. Tam gotowali Ruskie. A u nas, gdzie byliśmy z matką, musieliśmy sami sobie gotować. Dawali nam przydziały na rodzinę, na dzień, przypuścmy pół kilograma ziemniaków, jakiejś kaszy trochę, chleb i to wszystko; więcej już nic... sól, dodatki, nic absolutnie. Na przykład pieniądza myśmy nie znali, przez okres pobytu tam nie znaleźliśmy, co to cukier, cukierki.

Kontakt z prasą, radiem... Tylko ryciał stał na podwórku, czy na ulicy (bo to niby podwórko, niby ulica): taki głośnik na dwie czy trzy strony podawał lokalne ogłoszenia — to co naczelnik miał do powiedzenia, w ten sposób ogłaszał. A potem włączali ogólny program i ryczał cały dzień.

Szkoła miejscowa tam była, ale nas nie angażowali do szkoły. Oni po prostu nie wiedzieli chyba, co z nami będzie, nie wiedzieli, czy jesteśmy na stałe, czy nas do szkoły brać, czy nie. Zresztą byliśmy tam chyba tylko jeden sezon, to znaczy od zimy przez lato i na jesień już nas przerzucili w inne miejsce. Nie było sensu do szkoły chodzić. Kontakt z dziećmi ze szkoły też był zakazany, to też było karane. Jak z dziećmi byśmy chcieli iść na śnieg trochę się pobawić (pomimo głodu i chłodu człowiek bądź co bądź był młody, chciał pobaraszkować), to jeżeli wyszliśmy, to tylko na własne podwórko, tu gdzie barak. Inaczej nie wolno było.

Wydarzeń specjalnych tam nie było. Oni czasem stwarzali... Jak były państwowe święta, to naczelnik wszystkich zgonił na plac przez głośnik, obowiązkowo. Wszyscy podzieleni byli na sektory: ludność rosyjska i osobno Niemcy, oni stali z jednej strony, myśmy stali z drugiej strony. Kazali wszystkiego wysłuchać, nikt się nawet nie odezwał, i rozchodzić się. Tak to było.

Po jakimś czasie nas przerzucili. Już nie pamiętam, gdzie to było, bo to tylko baraki były w lesie pobudowane. Byliśmy trzy miesiące w jednym miejscu, później znów nas przerzucili gdzie indziej. Dzieci od matek nie rozdzielali, cały czas byliśmy razem, matka i my. Tylko ojciec i brat starszy był rozdzielony od nas.

Wtedy, na drugi rok, mieliśmy już trochę gorszą sytuację, bo wtedy już mama nie pracowała w kołchozie. Postawili nam tylko punkty skupu grzybów, jagód, o takich rzeczy, i za to zebrane runo leśne mogliśmy dostać w zamian chleb, bo tam tylko tyle było — chleb i nic więcej. No i z ubrania można było coś kupić, ale to strasznie dużo by trzeba było nazbierać, żeby dostać ubranie robocze. Ubrań my kompletnie nie dostaliśmy, nic, ani nawet maleńkiego kawałeczka szmaty. To co było, to dziura na dziurze, i co się jeszcze więcej wydarło, to się przyszywało. Nici ludzie wyciągali z innych ciuchów, bo nici też nie było, prostowali i szyli. Wszystko było wykorzystywane doszczętnie.

Ojciec w 1943 roku [autoryzacja — czy na pewno w tym roku] zginął przy pracy w lesie przy wyrębie, pra-



wdopodobnie. Ale mam jeszcze wersję inną, że gdy baraki w lesie budowali, gdzieś został potrącony, wypadek przy pracy po prostu. Napisali do matki list – taki i taki, nazwisko i imię, data urodzenia, zmarł w szpitalu na skutek wypadku przy pracy i został pochowany tam i tam. I wszystko.

Z najstarszym bratem nie mieliśmy żadnego kontaktu. Ich po prostu nie puszczały z lasu, bo to już byli tacy niebezpieczni chłopcy. Oni już dużo wiedzieli, dużo widzieli już przed wywózką, bardzo się ich obawiali. Dziewczeta starsze i chłopcy nie mieli już z nikim kontaktu. Nie mieliśmy z bratem kontaktu aż do podpisania umowy polsko-sowieckiej, tej z Sikorskim.

Wtedy władza zmiękła. Już nie była do nas tak strasznie wrogo nastawiona. Tyle że jak podpisano umowę, myśmy nic o tym nie wiedzieli. Nie wiedzieliśmy przecież, co się na świecie dzieje. Wiedzieliśmy tylko, bo o tym nas powiadomili, że wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Wtedy też, tak samo jak na 1 Maja, wezwali wszystkich na plac i powiedzieli: „*Słuchajcie, na Związek Radziecki zdradziecko napadły Niemcy i zaczęła się wojna.*” I wszystko. I tyle wiedzieliśmy o wojnie. Prasy żadnej, no a radio za dużo nie podawało, tylko że taka a taka sytuacja jest na frontach, że się przesunęli tu albo tu, taka informacja krótka i cały dzień ryczał głośnik swoją piosenkę radziecką. A później, jak nas w lasy głębiej przetrzucili, już w ogóle nie mieliśmy głośników, żadnej łączności.

I tak powiedzieli nam w końcu, że została podpisana umowa o przyjaźni i współpracy – tak nam powiedzieli. „*No i co teraz?*” – „*No może będziecie mogli opuścić te tereny, pojechać gdzie indziej.*” O bracie nie mieliśmy żadnej wiadomości. Wiedzieliśmy tylko tyle, że ojciec zginął.

Nasi opiekunowie zmiękli, zaczęli się inaczej z nami obchodzić. Nie ograniczali nam miejsca, mogliśmy się oddalić od naszego miejsca zamieszkania. Wyjechać nie mogliśmy, ale mogliśmy chodzić trochę dalej. W lesie mogliśmy chodzić do oporu, ile się chciało. Po jakimś czasie, naczelnik przyszedł i przeczytał pismo, że mamy prawo opuścić ten teren i możemy się udać do pierwszej lepszej stacji. Powiedzieli nam, do jakiej najbliższej stacji możemy się udać. Ale nie powiedzieli nam, że się tworzy polska armia – tylko tyle, że podpisana jest umowa i że możemy opuścić tereny północne i udać do dowolnego punktu Związku Radzieckiego. Z tym że wykluczone zostały Białoruś, Ukraina – to od razu było zaznaczone. Zresztą wtedy te tereny były zajęte przez Niemców.

Jak się później okazało tym „dowolnym” miejscem był pociąg.

Z punktów leśnych pociągi nie jeździły, tylko coś w rodzaju wagonów. Wyglądało to tak: tory drewniane, koła podobne jak felgi od samochodów, metalowe, osie stalowe, reszta konstrukcji wagonu była drewniana. Na wagony składano drzewo, a obok torowiska siedł traktor, taki gąsienicowiec, i ciągnął wagony do jakiegoś punktu. Dopiero w tym punkcie wagony rozładowywano. W takim punkcie była już normalna kolej. Taką właśnie kolejką-wagonami myśmy do normalnej stacji jechali; załadowali nas na drzewo, całe rodziny. Mówię normalnej, ale to właściwie też nie była jeszcze normalna stacja, tylko taki punkt kolejowy. Nazwy tej stacji nie pamiętam. Polaków było może 20 rodzin. I z tego punktu kolejowego dotarliśmy do stacji Wołogda.

To był duży dworzec. Zebrało się tam ludzi, rodzin na jeden transport, powyżej 20 wagonów. Tam ludzie koczowali, na podłodze leżeli, na peronach i jeszcze za peronem w innych punktach. Zwieźli tam całą kupę narodu, było tam dużo Polaków, w ogóle w tym rejonie było dużo Polaków.

Czas tego określam tylko po tym, że liście padały z drzew, to mógł być październik, listopad. Dopiero gdzieś na początkach lutego podstawili transport. Więc w Wołodzie byliśmy długo, gdzieś około trzech miesięcy.

Jak nas wysadzili w Wołodzie na dworcu, siedzieliśmy w narożniku pod ścianą na betonowej posadzce i czekaliśmy – nie wiedzieliśmy na co. W końcu nam powiedzieli, że czekamy na podstawienie transportu. Ale dokąd pojedziemy, jak i co, znowu nie wiedzieliśmy.

Później przypadkowo spotkaliśmy na dworcu żołnierza polskiego. Umundurowanego. Pytamy, skąd się tu wziął. A on: „*A co, to wy nie wiecie? Wojsko polskie jest.*” I on nam dopiero wszystko opowiedział. Że nigdzie, do żadnego Związku Radzieckiego, nie pojedziemy. Że jesteśmy rodzinami zaliczonymi do rodzin wojskowych, bo ktoś z członków rodziny jest już w wojsku. My byliśmy taką rodziną – jak się okazało mój starszy brat już był w wojsku. Jak on się tam dostał, nie wiem. I dopiero ten żołnierz nam powiedział, że władza radziecka jest w kontakcie z naszymi władzami wojskowymi. Ale co jeszcze ważne – tym żołnierzem okazał się mój stryj.

Jego też wywiedli z domu tym samym transportem co nas, tylko do innej miejscowości, w Konoszy [?] nas rozdzielili. On nie miał jeszcze rodziny, nie miał dzieci, tylko był żonaty. Nazywał się Stolarz Jan. Był dużo młodszy od ojca, nie pamiętam, który rocznik, ale u pana Baja jest taki dokument, który o tym mówi. Jak powróciłem do Polski, to przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie szukałem rodziny i w 1948 roku napisali mi o nim. Nie udało mu się wyjechać ze Związku Radzieckiego. Zmarł tuż przy granicy irańskiej. Zmarł jako żołnierz. Został pochowany na cmentarzu wojskowym. W tym dokumencie jest podany numer jego grobu, a miejscowość to Kirmeń [?]. Ostatni punkt, gdzie mógł dotrzeć pociąg w Azji Środkowej. Przyczyną śmierci był chyba tyfus.

Jak rozmawiałem z ludźmi, którzy dotarli do Kiermienia [?], mówili, że tam nie ma ani grobów, ani numerów, tam jest normalnie pustynia, po prostu pustynia. A na pustyni jedynie punkt stacji, tory tylko dochodzą i więcej nie ma nic. Może według tego punktu jest zaznaczone, gdzie tam w piachu są pochowani. Tam chyba jest dużo ludzi pochowanych, nie on jeden.



Za korespondencję w sprawie stryja miałem nieporozumienie z UB – że rodziny szukam na Zachodzie. Dużo szukałem, pisałem, miałem dużo adresów i za to mnie ubowcy przytrzymali miesiąc czasu. To było tak. Po powrocie do Polski początkowo byłem w rozdzielczym domu dziecka. Później w internacie. Gdy już byłem większy, zacząłem poszukiwać braci – matka zmarła, ojciec zmarł. Chciałem też znaleźć stryja. Nie znałem w Polsce nikogo, z nikim z rodziny nie miałem kontaktu – nie znałem rodziny, bo byłem przed wojną za mały, żebym wiedział, gdzie kto mieszka. Zacząłem poszukiwania najpierw przez Polski Czerwony Krzyż i przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Prosiłem też o podanie mi adresów na Zachodzie, żebym mógł bezpośrednio pisać do różnych instytucji, taka możliwość też była. To było w 1948 roku. Dostałem kupę adresów, łącznie z Palestyną – po prostu miejsca, gdzie Polacy się mogli znajdować – i pisałem pod te adresy. Dostawałem odpowiedzi, że nikogo w spisach nie ma, ale podawano mi następne adresy, i tak ubowcy się zainteresowali – dlaczego ja się tak kontaktuję. Mówili, że się szpiegostwem zajmuję. Tylko jakiś ślad mały i już wystarczyło. Zamknęli mnie na cały miesiąc na Sądowej we Wrocławiu, tam było UB.

Dzień w dzień przesłuchania, po co ja mam te adresy, dlaczego się kontaktuję. Ile ja im musiałem natłumaczyć! Niektórzy byli na jakim takim poziomie, ale niektórzy to były takie głupki, że aż strach było z nimi rozmawiać! Raz przyszedł taki waśniak, latarnią w oczy świecił i bez przerwy – trzy, cztery razy dziennie, po co ja piszę, dlaczego ja piszę, z kim się kontaktuję. Nie bili mnie. W nocy też budzili i to samo w kółko. Wreszcie doszli do wniosku, że to jest bez sensu, żebym utrzymywał kontakty szpiegowskie i zwolnili mnie.

Oni pytali o całą historię pobytu w Rosji. Może próbowali, czy mam wrogi stosunek, bo strasznie nie lubili, jak się mówiło, że nas wywieźli, że nas mordowali. Strasznie im to nie było na rękę. Powiedzieć, że nam jeść nie dawali, że nas wszy jadły w wagonach, to już byłby haczyk na ciebie. Już szkalujesz Związek Radziecki. Mnie nie mogli nic zrobić, bo ja ani w wojsku nie byłem, ani nigdzie w organizacjach. Chociaż u nich wszystko możliwe, bo potrafili reżyserować. Potem mieli mnie na oku, ale już nie ciągli. Wiedzieli, gdzie mieszkam i kontrolowali moją korespondencję. Kierownik internatu mi mówił, że cała moja korespondencja jest sprawdzana. Adresy mi wszystkie zabrali, co do jednego. Tylko tego co dostałem z Genewy z Czerwonego Krzyża mi nie zabrali. Tam jest data, 1948 rok. Zakazali mi się kontaktować z Zachodem, z kimkolwiek. I musiałem przestać, bo jak bym jeszcze pisał, to uznaliby, że jestem oporny. Nawet mnie straszili w ten sposób, że powiedzieli: czy ja nie jestem przypadkiem Rosjaninem i czy nie uciekłem z Rosji. Nawet tak mi powiedzieli. „Ty możesz być Rosjaninem, dlatego mamy ci uwierzyć.”

Wróćmy do Wołogdy. Pierwszy raz od wywiezienia próbowaliśmy coś słodkiego, gdy nas zebrała jakaś polityczna komsomołka, młoda dziewczucha. Była choinka ustawiona na dworcu. Na choma pozbierała nas z dworca w świetlicy dworcowej, bo dzieci się wałęsały, za ręce kazała nam się brać, jak dziś pamiętam, przelecieliśmy dookoła tej choinki, no i po jednym ciasteczku, takim maleńkim, dostaliśmy. To był Nowy Rok, bo u nich choinka jest stawiana na Nowy Rok. Więc w Nowy Rok byliśmy jeszcze w Wołogdzie.

Żeby chociaż nam na tej stacji do bani pozwolili pójść! Poszedł by człowiek i wymył się. A tu nic – tak jak siedzieliśmy, tak siedzieliśmy, ani umyte, wszy zaczynają człowieka już mordować... A pozbyć się ich – warunków żadnych nie było.

Załadowali nas na transport, zamknęli wagony, nie wolno było opuszczać wagonu. Tylko trochę lepiej jeść dawali. Nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy, wagony zamykali i jak stacja jakaś była, to mieliśmy punkty żywienia i przynosili nam np. dwa wiadra zupy, kasza manna, jęczmienna, chleba trochę więcej było. Tak około pół miesiąca jechaliśmy. I ja z matką i z braćmi podjeżdżaliśmy do Azji – najprawdopodobniej to była już Azja, bo jak otwierali wagony, to czułem powiew ciepłego powietrza. To były początki wiosny, a w Azji w marcu już jest ciepło. Było słychać odgłosy osłów, jak ryczą. (Tam ich dużo mają, przeważnie posługują się osłami i wołami, a koń to jest rarytasowa rzecz, tylko jako wierzchowce. Do pracy jest osioł, wół i wielbłąd.)

Po drodze między miejscowością prawdopodobnie Aralsk [?] i Akyzorda [?], to już był Kazachstan, zmarła matka, na stacji rozjazdowej. To właściwie nawet nie była stacja, tylko tzw. mijanki. Co 300 km była taka mijanka, bo tor był jednotorowy. Gdy musiały się zjechać dwa pociągi, jeden czekał na mijance, a drugi go mijał. Tam transporty zaopatrywały się w wodę i wszystko. Na takiej mijance otworzyli wagon i pytali, czy nam czego trzeba, czy wody... My mówimy, że jest dużo umarłych, że trzeba ich do stacji czy co. A do stacji było jeszcze 600 km – tak nam powiedzieli – a już jest ciepło i nie możecie być razem z umarłymi. W tym czasie z wagonów wynieśli gdzieś tak 8, 10 osób. Pytali się ludzie, czy oni będą gdzieś zapisani, zarejestrowani, żebyśmy wiedzieli, gdzie oni zostali. „Tutaj na tym piasku ich poskładajcie, my się nimi zajmujemy, resztę załatwimy i was powiadomimy.” Myśmy uwierzyli.

I na jednej z tych stacji została zdjęta matka z wagonu. Nie pamiętam żadnej rozpacz, albo coś takiego. Jak odbijam sobie w myśli ten moment, to było to takie obojętne. Teraz jak ktoś umrze, to dzieci krzyczą, płaczą. U nas tego nie było. U ludzi starszych, co byli z nami, też nie było wzruszeń. Oni tylko pytali po prostu, co, gdzie, jak. Jakoś nikt nie rozpaczał, nikt nie płakał. W innych miejscowościach ci starsi, jak umarły małe dzieci, musieli zanosić je do jakiegoś punktu. Potem opowiadali nam, że to się po prostu w głowie nie mieści. Wykopany dół i tam normalnie rzucano ludzi, zalewano to wapnem. Ale ja wtedy sobie nie potrafiłem wyobrazić, jak to wyglądało. Dopiero dziś mogę. To potężny jakiś dół musiał być i normalnie za ręce, za nogi, nie było tam żadnych noszów,



normalnie za ręce i nogi transportowali. Tu rzucimy, tam rzucimy. Dokumenty, akt zgonu? „*My was powiadomimy.*” Taka była mowa. Dali później.

Ja to przemyślałem później – właśnie ten czas oczekiwania w Wołogdzie, bez żadnych środków sanitarnych, glód, to były zalążki tej całej morderczej plagi. Bo tam zaczęły się wszy mnożyć i potem tyfus. Najbardziej ludzie umierali na tyfus. Czerwonka i tyfus. Dostali już troszkę lepszego jedzenia i może to jedzenie było nieczyste, nie wiadomo jakiego pochodzenia, była i dezynteria, i wysokie temperatury. To tyfus był, objawy tyfusu.

Ja dotarłem do Kezebordy [autoryzacja], mój brat Franciszek, ten co był w wojsku, już tam był. I jeszcze najmłodszy brat Stanisław. Matka już nie żyła.

Ale jeszcze wcześniej, zanim jeszcze zmarła matka, tylko co zdążyliśmy ujechać z Wołogdy do Swierdłowska (2000, 4000 km, gdzieś w tych granicach, to też Ural) bardzo dużo ludzi było chorych w transporcie i w Swierdłowsku zgłosił ktoś do władz radzieckich, przedstawiciel polski był tam też, że bardzo dużo ludzi jest chorych w wagonie, dzieci i dorosłych, żeby się ktoś tym zainteresował. No i przyszedł jakiś lekarz, przesłuchiwał mniej więcej ludzi, nie słuchawkami ani nic, tylko po prostu jak bydło. Z wyglądu popatrzył, ten tak, ten tak. Jak widział, że leży, to znaczy, że chory, jak jeszcze chodzi, to może być chory albo nie. Z wyglądu szacował. Tam brat Stefan też leżał, już nie chodził. To co z nim teraz? Lekarstwa jakieś – nie, musi iść do szpitala. I właśnie tam został zdjęty z transportu, w Swierdłowsku. I przebywał w różnych miejscowościach ZSRR aż do 24 września 1991 roku. A my, gdy go zdjęli z wagonu, zostaliśmy zamknięci i pojechaliśmy dalej, aż do Azji Środkowej. Tam matka zmarła w transporcie, a my dojechaliśmy aż do Kyzyl Ordy [autoryzacja]. Już bez brata Stefana.

Został ze mną jeszcze Stanisław. Franciszek już był w tym mieście, do wojska należał. Mnie wywiedli z wagonu. Przyszedł lekarz wojskowy, już polski, siostry polskie i tam wszystkich badali dokładnie, to znaczy normalnie: koszuł do góry, posłuchali, temperaturę zmierzili, wysoka temperatura, to jasne od razu – tyfus. Pozostałym ludziom, którzy jeszcze byli jako tako zdrowi, przeprowadzili dezynfekcję. Zastrzyki dali. Organizowali od nowa transporty, braki uzupełniali i z czterech czy pięciu transportów robili jeden transport, który jechał dalej. Transporty szły aż do Iranu, do Afganistanu.

Ja już dalej nie pojechałem, zostałem zdjęty do ruskiego szpitala. Przeleżałem miesiąc czasu na tyfus. Jakoś tak mi się udało, że wyszedłem z tego tyfusu. Byłem wycieńczony, Syberia dała się we znaki, transporty tu, tam. Człowiek nie był badany przez lekarza ani leczony. Jak jakaś temperatura, to swoimi sposobami się leczyło, zioła, coś tego. Nikt nie opiekował się nami, nikt. Ot tak sobie samopasem, tylko pod nadzorem, żeby się gdzieś władzy radzieckiej nie narazić.

Tyle pamiętam, że braci ostatni raz widziałem na dworcu. Franciszek, ten z wojska, przyszedł do nas na dworzec i mówił, że on opuszcza ten teren, że jest tu tylko przelotem. Ja zostałem zabrany do szpitala, a najmłodszy został w pociągu. Prawdopodobnie pojechał dalej. Jak daleko zjechał, nie wiemy. Na terenie Rosji, tego całego Kazachstanu nie starałem się szukać, bo poruszanie się tam nie za bardzo było możliwe. Pociągami towarowym było niebezpiecznie, bo to transporty wojskowe, mogli w każdej chwili zastrzelić, a osobowymi też nie było możliwości, dlatego że pociąg osobowy był kontrolowany. Nie wpuszczili nikogo. A bilet jedynie mógł dostać w kasie ktoś, kto miał delegację, specjalną przepustkę. Milicjant czy wojskowy dostawał bez niczego, a osoba cywilna delegację musiała przedstawić i dopiero dostawała bilet. W każdym wagonie konduktor, milicji pełno na dworcu, ktoś niepotrzebny – zaraz kto, dokąd i już zaraz go odpowiednio schowali, załatwili się z nim.

Po wypuszczeniu nas ze szpitala, wyszliśmy do nikąd. Była nas grupa dzieci, z dwanaścioro, dwanaścioro nas wypisali. Ich nazwisk w tej chwili nie pamiętam, później, jeszcze tam, paru spotkałem i związałem się z nimi aż do wyjazdu do Polski.

Tak że znaleźliśmy się nigdzie. Najsamprzód poszliśmy do placówki polskiej, tam był punkt wojskowy. Polaków dużo się włożyło różnych po tym sporym miasteczku, to nam powiedzieli – udajcie się tam i tam, może coś załatwicie. To była niedziela. Weszliśmy, pamiętam na korytarzu był żołnierz, który pełnił służbę, i mówił tak: „*Wiecie co, ja wam tu dzisiaj nic nie załatwię, a jeżeli chcecie, to jeżeli macie taką szansę, idźcie na dworzec i tam na dworcu przenocujcie, a jutro przyjdziecie i coś się załatwi. Jakies dowództwo będzie, to coś wam załatwi. Ja nic wam nie mogę powiedzieć. Na korytarzu nie możecie być, bo nie ma nikogo.*” I tak zrobiliśmy. Od tego miejsca do dworca może było ze dwa kilometry.

Szliśmy na dworzec. No ale byliśmy bez środków. Nie mieliśmy nic, nic do jedzenia. I tak szliśmy, bo szliśmy, może jaki los szczęścia, może nam ktoś coś da. I ja do dworca nie doszedłem. Po prostu upadłem. Nie wiem, jak to było, później się dowiedziałem, po prostu upadłem i leżałem koło drogi. To ulica była, po boku kanały nawadniające, ja gdzieś obok tego prawdopodobnie upadłem. Dzieci, które ze mną szły, tylko widziały, że upadłem i więcej nic. Oni myśleli, że ja umarłem. I ich to nie obchodziło, poszli sobie dalej. Jak się okazało, jakiś Kozak, czy ktoś z miejscowej ludności zobaczył, że leży jakiś dzieciak, wrzucił mnie na arbę, to są takie wózki dwukółowe, na dużych kołach, nieduża skrzynka i osiołek, on siedzi z przodu i osiołka kopie w tyłek, żeby leciał szybciej. On mnie rzucił na tę skrzynię i zawiózł do szpitala. Miałem szczęście. Jak się okazało, dostałem paratyfus, nawrót tej samej choroby, i drugi raz musiałem odleżeć. Znowu leżałem miesiąc czasu. Jeszcze drugi miesiąc.

Potem jak mnie wypisali, to te dzieci, które za pierwszy razem były wypisane ze mną, już się zaadaptowały,



już inny wygląd miały, jak ludzie wyglądali nie jak szkielety. Mieli tak tymczasowo sklecone coś w rodzaju pomieszczenia: jedno pomieszczenie, łóżka poustawiane. Ubrali ich w ubrania powojkowe, mundury, z tym że odprute były guziki wojskowe i przyszyte zwykłe, no i przefarbowywali te ubrania (później już przychodziły gotowe przefarbowywane). To duże było, a dzieciaki małe, rękawy długie, spodnie długie, poza tym buty duże, no ale przebrani byli, mieli chociaż czysto.

Ja przyszedłem wycieńczony szkielet. Miałem o tyle dobrze, że Polacy z urzędów polskich dowiedzieli się, że Polaków kupa leży po szpitalach i już z tych zorganizowanych placówek dawali trochę jedzenia; już od czasu do czasu coś mi przynieśli do szpitala. Tak że wyszedłem trochę podreperowany.

Tam byliśmy do czasu, kiedy zerwana została umowa polsko-sowiecka, to jest 1943 rok. I zostaliśmy na łodzi. Ludzi, którzy tam pracowali, aresztowali wszystkich. Radziecka władza przyszła i tak samo, jak robili z nami przy wywózce – wczesnym rankiem przyszli. Nas wszystkich kazali zabrać do domu poprawczego, bo jesteśmy zepsuci, a wszystkich pracowników tych placówek aresztowali i zamknęli do więzienia. Na tym się skończyło. Później się dowiedzieliśmy: kazali im wydać paszporty, bo to u nich się tak nazywa dowód osobisty. Kto nie chce przyjąć tego paszportu, bo to wiąże się zaraz z przyjęciem obywatelstwa, to nie taka prosta sprawa. A jeżeli przyjmie obywatelstwo radzieckie, to nie ma prawa powrotu do Polski. Oni wszyscy się z tym liczyli. I nie chcieli przyjmować tych dokumentów. I kto nie przyjął paszportu, wszystkich pozamykali do więzienia. I znowu łagry. Zaczęło się to samo.

A nas do domu poprawczego. Z domu poprawczego, byliśmy chyba dwa miesiące, i potem znowu podział, selekcja. Dom poprawczy jest tak samo jak więzienie. Tam byli sami młodociani. Nie tylko my Polacy tam byliśmy – byli Rosjanie, różne narodowości. Tak jak w całej Rosji jest dużo narodowości, tak i tam. Między innymi byliśmy traktowani ani gorzej, ani lepiej, po prostu byliśmy traktowani jak wszyscy zepsuci. Obostrzony rygor, nadzór. Normalnie cele, cele po osiem osób. Były oddziały dziewcząt i chłopców. Starsi chłopcy i młodszy chłopcy byli podzieleni. Szkoły nie było, poprawczak nie miał szkoły. To był chyba taki poprawczak przejściowy, bo tam my za wiele nie byli. Jak złapali jakichś dzieciaków, to wszystkich do poprawczaka.

Po dwóch miesiącach nas posortowali. Młodszych do domów dziecka, tam były domy dziecka ewakuowane z Ukrainy i do tych domów dziecka powpychali. Starszych chłopców, takich 13, 14 lat do zakładów pracy. W dalszym ciągu to nie był internat, a w każdym razie pod nadzorem NKWD. Normalnie do pracy trzeba było iść, tak jak my w takim wypadku 12 lat, to już trzeba było iść do pracy. Może to i przyuczenie zawodu było, trudno mi powiedzieć, bo robotnik z nas żaden.

Pracowaliśmy na stacji kolejowej, czyszczenie parowozów, mycie i sprzątanie wagonów – mnie w każdym razie takie coś się właśnie trafiło. Pracowałem, trzeba było zarobić na chlebek. Dostawaliśmy 15 deko chleba na dzień. Do tego chleba nic, suchy chleb i czarna kawa. To nie była zbożowa, tylko z suszonych owoców, z pestek, coś takiego. Oni tę kawę gotowali i nie słodką, tylko normalnie gorzką dawali. Na obiad, jak się chleba zostawiło z tych 15 deko, to było do obiadu. Jak nie, to trochę zupki. Na kolację czasami nic albo kawę samą postawili i już. Te 15 deko musiało wystarczyć na cały dzień. Pracowaliśmy rano od 8 i do końca dnia. Ta praca nie była ciężka. Jaka na kolei może być robota? Palacze i inni, oni mieli trochę cięższą pracę. Nam kazali sprzątać, myć. Jak rozebrali np. lokomotywę, części trzeba było pomyć w nafcie. Tylko tyle, że brudna robota.

Obiad był na wieczór. Jak się przyszło, skończyło się pracę, to się umyło i spać. Nadzór mieliśmy, wychowawców, ale to policjanci byli nie uzbrojeni. Do ośrodka nie wchodziłi uzbrojeni, a nadzór NKWD był.

W salach łóżka stały piętrowe, czasami było nas sześciu chłopców. Kraty w oknach, cały ośrodek zabezpieczony. To nie było tak, że sobie o jakimś czasie wyszedł, poszedł gdzieś. Po prostu tyle było wolne, że nas wyprowadził wychowawca (on z wychowawcą za wiele nie miał wspólnego, ale nazywał się wychowawca) i on, bez pistoletu, ale w mundurze, odprowadzał nas do zakładu pracy. W zakładzie pracy był taki, który się nami opiekował i po skończonej pracy zawsze musiał dać sprawozdanie wychowawcy, kto dobrze pracował, kto źle. Jak źle, to w ośrodku był zastosowany odpowiedni rygor. Był zamknięty do ciemnicy, pozbawiony obiadu czy czegoś innego. Bardzo się na tym traciło.

Młodsze dzieci zabierali do domów dziecka, tam ich uczyli trochę. Ja nie chodziłem do szkoły. Myśmy każdy dzień pracowali, w niedzielę też. U nas nie było wypoczynku, na okrągło chodziliśmy do pracy.

Narodowości były różne, wszyscy byliśmy zmieszani. Według lat posortowani. Koreańczyki, Czecheni, Rosjanie, czort wie jaka tam narodowość, my wszyscy namieszani. Niektórzy za wiele nie umieli po rosyjsku rozmawiać, ale normalnie ich przyuczali wszystkiego i do roboty.

Jeśli chodzi o hierarchię, to na ośrodku była zabroniona wśród chłopców. Nie było czasu, jak się przyszło z pracy, to każdy był zmęczony, trzeba było się umyć, bo przyszło się brudnym. A woda normalnie zimna, nie było czym nagrzać, ani centralnego, żeby woda leciała, normalnie zimna woda. Mydło takie... to trudno powiedzieć, taka maź i tym się można było umyć. A więcej nic nie było, żadnych wanien, ani pryszniców. Tylko co: dwa razy w miesiącu prowadzili nas do łaźni. Były łaźnie miejskie i w tych łaźniach musieliśmy się wykapać, a ciuchy nasze oddawali do odwszarni. Takie były dezynfekcyjne pojemniki, parę napuszczali do tego. Ciuchy zmieniali nam, jak się podarły. Na zakładzie pracy dostawaliśmy taki kombinezon, musieliśmy się w niego przebierać i ten kombinezon



wisiał w pracy.

Każdy pracował według jego siły fizycznej, byli przydzieleni. Przypuśćmy jakiś mały, słabiutki nie nadawał się, żeby przenieść coś cięższego, to on, zamiatał, sprzątał.

Nie wiem, czy gdyby podrośł trochę, czy może musiałby się przyuczać do jakiegoś zawodu. Ale nas nie zmuszali, żeby się uczyć określonego fachu. Po prostu przyszło się do majstra i majster kazał to czy tamto robić. Nie mówił, jak to się nazywa, co się robi, z czym to jest. Nie był tym zainteresowany.

Inni chłopcy dostali się tam też dlatego, że nie mieli rodziców, stracili w czasie wojny. Niektórzy przez sytuację materialną rodziców – po prostu nie byli w stanie ich utrzymać. I te dzieci włóczyły się po całej Rosji. Gdzie je złapali, tam je trzymali. Za długo nie pobyli, bo z takich zakładów, gdzie pobyl trochę, troszeczkę się zaadaptował, przyzwyczaił, rozejrzał się, jakie są możliwości, i po jakimś czasie uciekł. Tych, którzy uciekali, nie ścigano. Uciekł, to wiadomo było, że ich dalej złapią i do następnego ośrodka go zamkną.

Dziewczeta co robiły, nie mam pojęcia. W każdym razie myły wagony, też się zajmowały czyszczeniem wagonów, sprzątaniem itd. Innego tam zakładu nie było, żeby można było kogoś zatrudniać. Poza tym w okolicach tylko kołchozy i sprawy gospodarcze, sadzenie owoców różnych, bo tam dużo rzeczy się rodziło, tam marchew była, pomidory, ogórki. Sadownictwo też, ale wszystko nawadniane. To też pracowały w tych ogrodnictwach. Ale to w późniejszym okresie czasu. Przypuśćmy w okresie letnim dawali do ogrodów pracowania. Na zimę gdzie indziej. Tam gdzie potrzebowali do pracy.

Później trochę złuzowała się sytuacja, bo podpisana została nowa umowa z asilewską. I znowu trochę odprężenia. Znowu wypuszczali, tych co zamknęli za paszporty, na wolność do wojska. Można sobie wyobrazić, ile ludzi jeszcze było w łagrach zamkniętych, że zorganizowali na terenie Związku Radzieckiego dwie armie. Ile ludzi zamknęli jeszcze i dawaj z powrotem do wojska, a ile zmarło?

W tym czasie nam też pozwolili robić, co chcemy. Tylko Polakom. Jeżeli ma jakąś rodzinę, kogoś bliskiego, może opuścić zakład, może sobie iść, gdzie mu się podoba. Ale byliśmy początkowo bez jakichkolwiek dokumentów. Jak ja powiedziałem, jak się nazywam, to oni tak pisali i koniec. Nie mieliśmy kompletnie żadnego maleńkiego papierka. Ale już potem, z tego zakładu, co wyszliśmy, takie sprawki nam wydali, że przebywał tam i tam, od takiego do takiego czasu, tak a tak się nazywa. Przypuśćmy, że ktoś nie wyglądał na rok urodzenia, czy coś takiego, to oni ustalali sami. Przed lekarza stawiali, pasujesz pod ten rok, nie pasujesz, nam tak pasuje. Jeżeli miał na koncie jakieś przestępstwo, a przypuśćmy już podlegał, bo miał 16, 17 lat, to już był karany normalnie sądownie. A za wyrostków takich 14 lat, jeszcze się za bardzo nie brali.

Zwolnili nas, to znowu przyszliśmy do miejscowości, z której nas zabrali, ale bez środków do życia. Zebrało się nas tak z piętnastoro, może trochę więcej. Wiedzieliśmy, tu mieszkaliśmy i mieliśmy trochę kontaktów z tą miejscową ludnością, tam mieszkało dużo ludzi z Ukrainy ewakuowanych, było sporo rodzin polskich. Niektórzy byli zesłani, tak jak my wywiezieni na Sybir. U nich robiliśmy małe usługi, zezwolili nam spać. Jakiś czas my tam przetrwali. Jak w tej miejscowości zawiązał się Związek Patriotów Polskich, zainteresowali się nami, żeby nas zebrać wszystkich, ilu się tam włóczy, wszystkich, i po prostu w jedno miejsce, jakąś szkołę, wychowawcę jakiegoś żeby dać. No i tak się stało. Znaleźli nam miejsce przy domu inwalidów wojennych, radzieckich. Tam było szesnaścioro dzieci chyba.

Ale to nie było takie proste nas do tego domu inwalidów przyznać, a dom inwalidów wojennych nam celowo wybrali – bo oni zaplanowali coś ciekawego. [autoryzacja – kto zaplanował] Tam byli ludzie z frontu, poranieni, o różnych okaleczeniach, bez jednej ręki, bez nogi, bez obu rąk. I tam z frontów wszystkich, po szpitalach, nawet nie całkowicie zaleczonych przywozili. Inwalidzi wojenni zaopatrzenie mieli dobre, byli w pierwszej kolejności zaopatrywani w żywność czy odzież – mieli jeszcze tak zwany pajok frontowy, tak się nazywał. Co się na froncie należało żołnierzowi, to oni też to wszystko dostawali. Dobrze było wybrane to miejsce, ale coś za coś.

W tym czasie posyłali nas już do szkoły, do ruskiej szkoły, obowiązkowo trzeba było chodzić. Rano, jeżeli były zajęcia w szkole, to trzeba było do szkoły chodzić, a w wolny czas, trzeba było pracować w tym domu, usługiwać inwalidom. Trzeba było sprzątać w pomieszczeniach, dziewczyny sprzątały. Siostra tam była stała, za-wodowa, która zastrzyki dawała, opiekowała się rannymi, przebijała rany, bo rany były podgojone, ale nie całkowicie. Dziewczyny musiały pomagać tej siostrze. Prać bandaże, bo bandaży też nie było. Badnaż raz użyty musiał być prany. To dziewczyny pracowały przy takim sprzątanu, pielęgnowaniu inwalidów.

Natomiast chłopcy sprawy gospodarcze. Starsi dostawali przypuśćmy transport chleba, transport czegoś innego, drewna na opał. Mówi się Azja Środkowa, to tam ciepło. Ciepło to jest tam latem. Ale jak przyjdzie zima, to jest okropna zima. I takich chłopców jak my, podrośniętych trochę, wysyłali w step po drzewo. Do transportu był jeden samochód wycofany z frontu, a budynek spory. Mieli dwa konie, chyba cztery wielbłądy. Z transportu to wszystko. Wybierali starszych chłopców, kilku inwalidów, zabierali samochód, konie wielbłądy i w step ileś kilometrów trzeba było przejechać. Rano bardzo wcześnie się wyjeżdżało. Tam na miejscu trzeba było wyciąć drzewo. Drzewa w Azji Środkowej były małe, takie krzewy, ale takie, że nie dało się ciąć, trzeba było łamać, bardzo twarde, ciężkie jak żelazo, nie pływały. Jak się je rzuciło do wody, to tonęło jak żelazo. A ponadto się paliło bardzo dobrze, bo utrzymywało żar tak jak węgiel. To bardzo dobre drzewo było. Ale ono się nadawało



tylko na opał, na nic więcej.

W szkole przedmioty normalne, język rosyjski, matematyka, historia, geografia, przedmioty jak w szkole. Były też zajęcia polityczne, szkolenia. Tłumaczyli na nich, jak sprawa wygląda. Nie mówili nic na temat historii Polski przedwojennej. Polaków nie porównywali, że Polska to a tamto, tylko po prostu terytorium Związku Radzieckiego, sytuacja jaka. Ale nas to nie interesowało. Człowiek się kręcił, a oni mówili: „*A co, was Polaków to nie interesuje?*” Okropnie nas nachodzili, tak można powiedzieć.

Albo taką nagonkę zrobili: żeby młodsze dzieci do pionierów zapisać, a starsze do komsomołu. Ale jak pamiętam, z naszej grupy ani jeden się nie zapisał nigdzie. Przymusu nie było, ale chcieli koniecznie. Nie mogli do nas dotrzeć, nie mogli na nas wpłynąć. I tylko przygadywanie takie – przez młodzież z kół związkowych pionierów, komsomołu. Ci byli tymi pieskami, najbardziej dogryźliwi. Ciągłe Związek Radziecki, jakie korzyści Polska ma z tego, Związek Radziecki wszystko ma itd.

Ja w każdym razie byłem w takim nastroju, że mnie to nie interesowało. Bez przerwy nosiłem się z myślą, że muszę się stąd w jakiś sposób wydostać. Bez przerwy myślałem, w jaki sposób. Jak ja wrócę do domu, no i kogo ja znajdę, kogo zastanę, gdzieś się pogubili wszyscy. Chaos w mózgu, człowiek nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy.

Różnica między nami a ruskimi dziećmi była taka, że ruskie dzieci, jak chodziły do szkoły, to w szkole dostawały dodatkowo kromkę chleba. A my nie dostawaliśmy nic. Nie wiem, dlaczego, chyba dlatego, że my mieliśmy dużo większą normę chleba w domu inwalidów wojennych, może przez to, nie wiem.

W domu inwalidów mieliśmy dwie sale. Jedna duża była dla chłopców i dwie dla dziewcząt. Mieliśmy tam polską wychowawczynię, taką co naszym życiem kierowała. Ona miała kontakt z naczelnikiem tego domu. Nazywała się pani Ryżyna. Ta pani była żoną dowódcy tej placówki. On był w stopniu pułkownika i z chwilą kiedy NKWD zlikwidowało tę placówkę, został zamknięty. Pytaliśmy później tą panią, co się stało z jej mężem, mówiła, że powiadomili ją, że zginął w kopalni w miejscowości Buchar. To było jeszcze troszkę bardziej za Alma-Atą, gdzieś w tym rejonie. Pracował tam w kopalni węgla. Ona mu tam jeszcze wysyłała paczki, te paczki nie docierały do niego. On był pułkownikiem jeszcze za czasów armii Andersa. Gdy placówkę rozwiązali, pułkownik był do ostatniej chwili. Innych nazwisk z tej placówki nie pamiętam, nie utkwiły mi w pamięci.

Ona jeszcze za czasów Andersa organizowała dzieci, ściągali wszystkie dzieci bez rodziców, sieroty, skąd tylko możliwe było. Gdzie kto wiedział o nich, ściągali do takich placówek, punktów wyczekiwania. Organizowali transporty przerzutu tych dzieci do Iranu, do Indii, ale przez Afganistan najbardziej i przez Irak. Bardzo dużo dzieci padło, padło na granicy, nie dojechali. Nie wytrzymali, wynędzniali, wszy, głód, temperatura dawała się we znaki. Niektórzy umarli zapomniani, nie wiadomo, gdzie zostali pochowani, bez nazwiska, bez niczego. Tylko ci ludzie mogą o nich wspominać, a tam taki chaos, pamiętam, taki bałagan. Zresztą było trudne do opanowania, bo przecież punkt przerzutu wojska, wojsko ze sprzętem trzeba było przerzucić, oprócz tego transport ludzi cywilnych. To ludzie chorzy. Część trzeba było zostawić, ludzi chorych zdejmować, zdrowych przerzucać. To jest okropna praca. Żeby tam torów było więcej, to może szybciej by to przechodziło, a tak tłoczyło się wszystko. Ta pani Ryżyna mogła, bo miała dwoje dzieci, wrócić do Polski w 1946 roku. Ona gdzieś w kołchozie była daleko i ten mąż czekał na nią. Miał ją ściągnąć tam z kołchozu i myśmy mieli być załadowani, dołączeni do transportów innych i mieliśmy wyjechać, no nie udało nam się. Taki los nas spotkał. [autoryzacja – niejasne czy to była „prywatna” ochronka pani Ryżyny, czy coś regularnego, organizowanego przez ZPP].

W domu inwalidów pracowaliśmy do 1946 roku, do maja. Księdza tam nie mieliśmy. Tylko tyle, że wiedzieliśmy, że dzisiaj jest np. Boże Narodzenie, że jest Wielkanoc, że 3 Maj jest, że trzeba by to obchodzić. Polacy nie organizowali się tam, tylko tyle co w Związku Patriotów Polskich. Ale jak oni obchodzili wszystkie święta, nie wiem, bo nie mieliśmy kontaktu. Tylko przewodniczący przychodził od czasu do czasu do nas, miał pewną pulę pieniędzy do dyspozycji na nas, na odzież albo coś takiego. Książek polskich nie było, nic nie było. Choinkę na Boże Narodzenie zastępował krzew zwykły, bezlistny, nieduży. Ubieraliśmy go w różne kokardki, niby symbol, że to jest Boże Narodzenie. A jak robiliśmy Wigilię, to schodziliśmy się razem i życzyliśmy sobie, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Zdrowia i to wszystko. Nie mieliśmy spotkania z żadnym księdzem. Prawdopodobnie w wojsku księża byli, ale my nie mieliśmy. Polskich księży tam nie było, chyba że w wojsku.

Żydzi mieli, tam Żydów polskich było dużo, Żydzi mieli swoich rabinów, dużo rabinów. Żydzi byli tacy bardziej zorganizowani, ale oni przeważnie trzymali się razem z Polakami. Przewodziły temu wszystkiemu polskie organizacje. A pod szyldem Żyd polski, on nie był traktowany jako Żyd, ale jako Polak. Polak i już. Oni zresztą byli troszkę więcej tam chronieni, nie wolno było na nich mówić Żyd – to było coś uwłaczającego, poniżającego. Można było później mówić Jewrej, tak było wolno, że to niby internacjonalizm, że każdy ma równe prawa, teoretycznie, ale w praktyce inaczej to wychodziło. Jeżeli Polaków oni w ten sposób potępiali, mordowali, to jakie Polacy prawa mieli?

Po wojnie warunki życiowe już były znośne, dużo lepsze sanitarne, więcej mydła, można było samemu iść się wykapać. Byliśmy całkowicie wolni, bez nadzoru. Mieliśmy tylko tą swoją wychowawczynię, to co ona powiedziała, to na co zezwalały warunki. [autoryzacja – niejasne] Tym warunkom podlegaliśmy aż do ostatniej chwili.



Tam byliśmy do 1946 roku. 1 maja stamtąd wyjechałem. Wiedzieliśmy, że jedziemy do Polski.

Na podróż nam nic nie dali. Tylko tyle, że byliśmy na zbiorowej liście. Tylko tyle, że nam wydali, zafundowali nam robocze ubrania, niebieski kolor miały, i w tych ciuchach przyjechaliśmy do Polski. Wszystkie stare ciuchy nam zabrali. To po prostu łachy były straszne, obstrzępione, trudno sobie wyobrazić, że to ubranie. Dzisiaj super lepsze na śmietniku się walają. Dziura na dziurze, a w dziurze jeszcze dziura.

Cały transport w Polsce najpierw dali do odwszarni. W Gostyninie. Tam było bardzo dużo dzieci – w Gostyninie. Trzeba było przebyć taką kwarantannę, dwa tygodnie. Niektórzy, jak byli chorzy, to i miesiąc czasu musieli tam przebyć i dłużej. Tam zresztą w archiwach do dziś dnia są nasze dokumenty. Po odbyciu kwarantanny wszystkie rzeczy nam spalili, wykapali nas. Po miesiącu czasu segregacja według starego modelu i przydziały. Ja zostałem przydzielony do Wrocławia, do państwowego domu dziecka na Komuny Paryskiej, „Domu Dzieci Syberyjskich”. Tak się początkowo nazywał nasz dom, ale bardzo szybko nazwę kazali zmienić.

We Wrocławiu na początku jak się znalazło jednego Polaka, to trzeba było bardzo długo szukać. Bardzo dużo Niemców tam było. Kupa gruzów. Jeden rok byłem w domu dziecka na Komuny Paryskiej. Nazwa zmieniała się: „Komuna Paryska”, „Dąbrowskiego”, dwa razy zmieniała się ta ulica.

W międzyczasie poszukiwałem śladu braci. Bez przerwy pisałem do Czerwonego Krzyża za granicą do Genewy. Oni bez przerwy odpisywali, że nie ma. Tutaj to samo odpisywali, nie ma, nie ma w ewidencji, poszukiwania trwają. Jeden tylko stryj pochowany został w Kermenie [autoryzacja], według archiwum Sikorskiego z Londynu. O swoim bracie najstarszym do dziś dnia nic nie wiem, szukamy go. To samo z najmłodszym. Przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, Polski Czerwony Krzyż. Poszukiwany jest i za granicą, w punktach gdzie skupiska są polskie. Bez rezultatów. Po prostu podają, że nigdzie nie ma.

W międzyczasie przyjechała tutaj mojej mamy siostra i ona zaczęła poszukiwania przez Czerwony Krzyż. Ja byłem już żonaty. Ona nie mnie poszukiwała, a moją matkę. Szukała siostry z mężem i z dziećmi i dlatego tak to długo trwało. Wiedziałem, że mama miała siostrę, że jacyś stryjowie są, ale nie wiedziałem, jak się kto nazywa. Jeszcze była taka kłopotliwa sprawa, że ja nie pamiętałem rodzowego nazwiska matki. Trafiłem tylko na rodowe nazwisko babki. Nie mogłem skontaktować się z tą rodziną, a ona tutaj była. Jak ich poszukiwałem, przebywałem jeszcze we Wrocławiu w domu dziecka, potem już byłem trochę starszy, musiałem zamieszkać w internacie. Potem, jak już byłem żonaty, ta ciotka się pojawiła. Oni też w czasie wojny mieli sprawy takie... Mieszkali na Pomorzu, w Solcu Kujawskim, i Niemcy ich stamtąd wyrzucili i przewieźli do centralnej Polski, gdzieś do krakowskiego. Ta ciotka umarła, ja jej w ogóle nie widziałem na oczy, nie pamiętam jej. Oni nawet nie wiedzieli, że myśmy istnieli. Wiedzieli tylko, że byliśmy zesłani na Syberię, matka pisała z Syberii i jeden jedyny list przyszedł. Odpowiedzi na Syberii nie dostaliśmy, bo to za długo szło. A później, w 1941 roku wojna, to już zupełnie nic. Zatraciło się kontakt. Dopiero teraz, dzięki córce mojej ciotki. Ona dostała od matki zadanie, poleciła jej na łożu śmierci kogoś z rodziny odszukać. A ona mówi: „*Śluchaj mamó, będę szukać, ale czy ja wiem, kogo szukać?*” Znała tylko nazwisko i imię mojej matki. Więcej nikogo. A to nazwisko, w Czerwonym Krzyżu nie istniało, nigdzie nie było zarejestrowane, bo to było nazwisko rodowe, i dostała odpowiedź, że nie istnieje, że nie ma w rejestrze, nie ma takiej. Później, przez nazwisko, przez skojarzenie przypadkowe znaleźliśmy się. Ta córka już też nie żyje.

Ja jak pisałem, to początkowo już straciłem chęć poszukiwania, nie ma, nie ma... W siedemdziesiątym którymś roku mówi córka: „*Jeszcze wznowimy poszukiwania.*” I pisaliśmy do naszego Czerwonego Krzyża, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i chyba w 1979 roku przyszła wiadomość, że Stefan jest w takiej i takiej miejscowości i żyje. To była pierwsza wiadomość, w 1979 roku. Tą wiadomość dostałem z Polskiego Czerwonego Krzyża. Wszystkie sprawy potwierdzające są u pana Baja. Bez pana Baja, nie ruszylibym z tym. Jest to grupa ludzi, zrzeszona w wojewódzkim Związku Sybiraków w Zielonej Górze. Nasze koło było za słabe. Województwo to coś już jest.

Treści dokładnej tej informacji o Stefanie nie pamiętam, ale w każdym razie, między innymi, że znajduje się w takiej a takiej miejscowości i kontakt z nim jest niemożliwy. To wszystko. Przyszło to na mój adres domowy. Jeszcze do Czerwonego Krzyża pisałem, dlaczego jest niemożliwe, nie dostałem odpowiedzi. Bez odpowiedzi zostało. Potem tempo się trochę zmniejszyło, stan wojenny, to staranie człowiek zaniedbał. Najstarsza córka najbardziej ponaglała tą sprawę. Może jeszcze napisać tu, tam. I kiedyś usiedliśmy i napisali bezpośrednio do lekarza głównego szpitala, w którym Stefan był, w pierwszym ośrodku. [autoryzacja – niejasne gdzie] Do żadnej administracji polskiej nie chciałem pisać. Myślałem tylko napisać do „*Ekspresu Wieczornego*”, oni bardziej otwarci byli na te sprawy. Ale zaniechałem, myślałem, że na razie jest to bezcelowe, stan wojenny już wszedł.

Teraz kogoś się zaczęło. Nie wchodziła nam żadna instytucja do głowy. Postanowiliśmy napisać bezpośrednio do tej miejscowości, którą podał nam Czerwony Krzyż. To było w okolicach Swierdłowska. Do tej miejscowości, do tego ośrodka zamkniętego bezpośrednio napisaliśmy po rusku. I lekarz prowadzący odpisał. Lekarz pisze, że pozdrawia. Opisuje mi brata, prosi, żeby napisać szczegółowe dane o nim. I znowu ucieszyliśmy się. On przysłał nam zdjęcie, pierwsze zdjęcie Stefana. Prosił o napisanie, podanie więcej danych o nim. Opisaliśmy wszystko. To się stało wszystko w 1990 [autoryzacja?] roku. Wysłaliśmy list, prosiliśmy lekarza o więcej szczegółów, skąd Stefan tam trafił, skąd był zesłany, za co był ukarany.



Dostaliśmy odpowiedź, że jest w złym stanie zdrowia, że skąd on przybył nie wiedzą, wiedzą tylko, że został skierowany przez władze radzieckie do nich i od tego i tego roku tam przebywa. To był szpital. Ale oni podawali, że to szpital psychiatryczny, a to po prostu psychuszka. Kiedy go zamknęli, to było jego 20 lat. I od tego czasu jest zamknięty. Nie wiemy za co, nie podają paragrafu, atrykułu, nic. Tylko został skierowany przez władze do tego ośrodka i tyle.

Tego drugiego listu nie napisał ten lekarz. Odpisał ktoś z personelu i podpisał się „w zastępstwie”. I na tym się skończyło. Później wysłaliśmy jeszcze jeden list i już nie dostaliśmy wcale odpowiedzi. Musiało już tego lekarza nie być. Najprawdopodobniej naraził się listem do nas. To było w 1989, 1990 roku. [autoryzacja?]

Rozważaliśmy tą sprawę, starać się na własną rękę? Nie da nam to nic wielkiego. Jakies władze u nas, jakaś gazeta, prasa, też nie za bardzo to się wydawało i właśnie zawiązał się Związek Sybiraków. To już trwa dwa lata, bo pod koniec 1990 roku zwróciłem się z tym. Pan Baj się tym zainteresował i mówi tak: „*Wy jako koło byliście za słabi, ale z województwem to może się będą trochę liczyć.*” I występowaliśmy jako organizacja. Bez przerwy. Oni bez przerwy podawali, że nie, że kontakt ze Stefanem w dalszym ciągu jest niemożliwy. Później przyszło powiadomienie, o tym oni bez przerwy powiadamiali, że został przerzucony do innego szpitala ze względu na stan zdrowia. A on był chory na gruźlicę i był zapobiegawczo zabezpieczony w tym obozie. [autoryzacja – niejasne gdzie] I później był nieleczony absolutnie. Dopiero na wniosek, na usilne starania przez Związek Sybiraków. Potem my pisali do ministra Skubiszewskiego, do ministra spraw zagranicznych, do ambasady w Moskwie [autoryzacja – polskiej?] – wtenczas napisali, że zezwolą jedynie na widzenie, ale po odbyciu leczenia na gruźlicę. No i leczyli go, dwa lata, w tym ośrodku. [autoryzacja – którym] Tyle że o stanie zdrowia powiadamiają.

Po jakimś czasie, po wymianie pism między ambasadą [autoryzacja – którą] i Ministerstwem Spraw Zagranicznych [autoryzacja – którym], podają że możliwość przyjazdu Stefana będzie, jeżeli ja mu wyślę zaproszenie. Zaproszenie wysłałem. Ale znowu powiedzieli, że na razie niemożliwe jest z nim widzenie się. I znowu czekać. Po prostu czekać. Jak ta sytuacja rozwinie się, nie wiedzieliśmy, tylko żeby jego stan zdrowia pozwolił. A obawialiśmy się jeszcze jednego. Mówimy tak: „*Jeżeli będziemy mocno się starać na Zachodzie, bo mieliśmy pisać do Komitetu Praw Człowieka, jak będziemy się mocno upierać, to oni mogą mu tak zrobić, że po prostu przyjdzie wiadomość, że zmarł.*” I tak by się skończyło. Mówimy, lepiej bądźmy ostrożni, nie trujmy mu tam za dużo, to już ostateczna deska ratunku jest.

Po jakimś czasie został powiadomiony pan Baj, że będzie możliwe widzenie, i na to wysłaliśmy mu to zaproszenie: Ministerstwo Zdrowia [autoryzacja – które] na podstawie wyników badań zezwala na widzenie z nim albo ewentualnie jego wyjazd do Polski na zaproszenie. Jedynie na to zaproszenie była szansa, żeby on tu przyjechał. No dobrze, ale przyjedzie na trzy miesiące, a po trzech miesiącach co? Już trzeba myśleć, co z tym zrobić. Mówimy tak, żeby tylko tu przyjechał, to my go już nie puścimy, coś zawsze się da załatwić. To różnie było rozważane. Sytuacja jeszcze nie była taka pewna. To był 1991 rok, a Stefan jak tu przyjechał, to nie jako Polak, tylko jako obywatel radziecki, mieli do niego pełne prawo. Przez okres trzech miesięcy był na prawach obywatela, opiekowało się nim Ministerstwo Spraw Zagranicznych [autoryzacja – które]. On nie miał żadnych innych praw.

Po jakimś czasie pan Baj został powiadomiony, że będzie możliwy jego przyjazd do Polski. Ale jakoś tak zwlekali, że niby już, już – a nic. Chyba z pół roku tak trwało, no i co zrobić. To napisaliśmy jeszcze do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i Półksiężyc, w Rosji coś takiego istnieje, żeby oni przyczynili się jakoś do przyspieszenia przyjazdu. Po jakimś czasie dostał pan Baj odpowiedź, taką niekларowną, że Czerwony Krzyż i Turecki Półksiężyc pisze, że należałoby podjąć właściwe kroki. Co to za odpowiedź, do kogo, kto powinien podjąć właściwe kroki? Czy nasz Polski Czerwony Krzyż, czy ich? Jeszcze jedno pismo do ambasady, drugie, potem zamawiał pan Baj specjalne rozmowy do ambasady. No i mówi tak, że trzeba będzie na wszelki wypadek, jak zezwolą, pojechać tam i zabrać przygotowaną ekipę. [autoryzacja – niejasne z którą ambasadą ta korespondencja, niejasność dotyczy też poprzednich akapitów]

Miałem pojechać ja, lekarz, bo pisali, że on jest psychicznie chory. Jaka to jest psychika, nie wiadomo – że jest spokojny, nieszkodliwy, ale jeżeli człowiek jest chory psychicznie, nie wiadomo, w jakim stanie, jak będzie reagował na spotkanie ze mną, nie wiadomo. Człowiek może się rzucić, sam sobie może coś zrobić. Na wszelki wypadek stworzymy taką ekipę. Zgłosiła się też ekipa filmowa z Łodzi, żeby tam wszystko filmować na miejscu. Mieliśmy się udać do tego szpitala. I naciskali na naszą ambasadę polską bez przerwy, że oni chcą się tam dostać do tego ośrodka. Nie chcą go zabrać, ale zobaczyć, w jakich warunkach on żyje.

W końcu dostali wiadomość, że w tym a tym dniu Stefan przyjeżdża do Moskwy. Tą wiadomość z ambasady pan Baj dostał. Że Stefan będzie przywieziony do Moskwy, a potem do Warszawy.

Wróć jeszcze do tyłu troszkę. Z ambasadą [autoryzacja – którą] uzgadniany był taki plan: że musimy mieć paszporty, wizy. Jeżeli nie wizy, to takie zezwolenie na pobyt na terenie Związku Radzieckiego, ale – że będziemy mogli wejść do tego obozu, gdzie Stefan był. Na to musimy mieć pozwolenie. Wszystko musi być przygotowane, a to wszystko wiązało się z kosztami. Odległość i ludzie – nie taka to prosta sprawa. Ale oni tam, w ZSRR zezwolili tylko na jedną osobę, to znaczy, że nie mogła pojechać ani ekipa filmowa, nikt, tylko jedna osoba mogła



pojechać do Swierdłowska Stefana zabrać stamtąd.

Pojechał polski konsul z Moskwy, niejaki pan Sawicki. I w ciągu 24 godzin zrobili Stefanowi zdjęcie, paszport i wyleciał ze Swierdłowska do Moskwy. Musiało ich coś mocno parzyć, że w ten sposób to załatwili. Konsul przywiózł Stefana do Moskwy, przywiózł go w laczkach wydeptanych, wyświechtanych, w kombinezonie brudnym, brudna koszula, osobistej bielizny żadnej, nic. To już był wrzesień, ale ciepło było. W takich ciuszkach go przywiózł. Tak jak Stefan tam stał, tam go konsul zabrał. Że się nie wstydzili, tak go wydać! Ciuchy, wszystko brudne.

Jak go przywieźli do Moskwy, latali ci z naszej ambasady, szukali jakichś ciuchów. Kupili mu garnitur, płaszcz, jakiś beret i buty. I to wszystko kupili najprawdopodobniej w naszym sklepie firmowym, bo wszystko pochodzenia polskiego, oglądałem. Te wszystkie rzeczy były nasze z Bielska. Tego samego dnia w Moskwie Stefan zjadł jeszcze obiad i tego samego dnia wyleciał z Moskwy do Warszawy.

W Warszawie go odebraliśmy o godzinie 22, 23 – ekipa z Zielonej Góry z ramienia Związku Sybiraków, ja, kierowca, najęty samochód był, i lekarz. Z naszego domu zorganizowała się własna ekipa – żona, syn, synowa i jedna córka. Na lotnisku trzeba było wejść z drugiej strony, dali od razu zezwolenie na drugą stronę. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych nikogo nie było, poza konsulem Sawickim. No i ta ekipa z Łodzi.

Z lekarzem ja sam się skonsultowałem, mam kłopoty z sercem i mówię, że nie wiem, jak ta sprawa będzie wyglądała. On mówi, na wszelki wypadek weźmie pan tabletkę, potem dostałem od lekarza taki darmopłaster kardiologiczny z nitrogliceryną, który działa 24 godziny. Później środki uspokajające i byłem bardziej spokojny, ale mimo to nie mogłem się jakoś opanować z tym wszystkim. Nie wiedziałem, jak przebiegnie spotkanie.

Przecież to z wielką radością, miłością, czy ja wiem, jaka obustronność będzie, wymiana, nie wyobrażałem sobie tego. Nie wiem, czy ktoś sobie wyobraża taką sytuację po latach. Po prostu nie poznajemy, co to jest za osoba, jakie szczegóły, czy poznamy, czy nie poznamy. Co się stanie w tym momencie. Moment był taki, jakby człowiek pod ziemię się zapadał. Jeszcze nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Prawdę tak przyznać, jak był moment zbliżenia, lekarz stał z drugiej strony ławy, myśmy tam w holu byli i on mówi tak, że on jest w większym strachu niż my wszyscy. Jakby komu co się stało, on sobie po prostu nie wyobraża. Jakies trzy minuty przed przylotem, przyszedł jeszcze do mnie i dał mi kolejne tabletki i mówi – trzy minuty. I on sam sobie wziął te tabletki, nie mógł wytrzymać.

No i samolot przyleciał. Zapowiedzieli przylot, ludzie przyszli, pasażerowie, odprawa, wszystko, nie ma. Pytamy, czy to lot numer ten i ten. Tak. Czekamy chwilę, później poszliśmy do informacji, no a za chwileczkę przez głośniki nadali, żeby się nie obawiać, że przyjedzie specjalny autobus, służba dyplomatyczna. Przyjechali. Brat, konsul miał jego teczkę, nic w tej teczce, tylko laczki, które mu też kupili, też polskiej produkcji. Laczki miał w tej torbie i chusteczkę do nosa i więcej nic.

Powitanie. Stanęli i wiedzieliśmy tylko tyle, że to musi być on, bo kto inny. Oczy mocno zapadnięte do środka, mocno wystraszony, błady jak ściana, jak na manekinie wszystko wisi. Takie powitanie. Wiele radości przy tym powitaniu nie było, raczej więcej w skupieniu, bardzo krótko. Ja tego momentu za dużo nie pamiętam, bo ja też byłem w szoku, ale widziałem moment, że on był zaszokowany, po prostu nie wiedział, co się dzieje. Inne miejsce, ludzie, kamery i on się zaczął rozglądać, oczy zaczęły latać, ale nie zmieniał pozycji, żadnego ruchu nie wykonywał, stał tak jak stał.

Ja podszedłem niezdarnie, no, czort go wie, nie pamiętam tego dokładnie, w każdym razie podszedłem: „*No cześć bracie. Cześć Stefciu, jesteś w domu.*” I go za szyję tak przyciskam, a on stoi jakbym po prostu stracha na wróble obejmował, bez jakiegokolwiek reakcji. Nic absolutnie. Po prostu powitanie takie nieodwzajemnione, bez radości, takie chłodne.

Później rodzina się z nim powitała i konsul pyta, kto tu jest z przedstawicieli. Lekarz mówi, że on jest, jeszcze jeden pan, jego brat i rodzina. „*To są dokumenty, to pismo z ambasady, historia leczenia*” i wszystko przekazał.

Przywieźliśmy go do domu w nocy, położyliśmy go spać. Jaka będzie reakcja, co będzie – po prostu nie wiedzieliśmy. Jak z nim zaczynać, co z nim robić? Ale tak jakoś pomału, pomału. Najbardziej to, że tam pisze, że on nie panuje nad sprawami fizjologicznymi. On potrafi spać, chodzić i w trakcie załatwić się. On tu chodził i sikał. Zapominał się, kiedy co. A jeżeli już chciał się załatwić, to nie przeczuwał, że za chwilę będzie mu się chciało, tylko wiedział, że już. Potrafił na korytarzu, byle gdzie. Ale co ważne – musiał być tam trzymany w nieludzkich warunkach, bo jak do łazienki tu wszedł, obserwowałem go, to stał, macał wszystko, wszystko: spluczkę, ściany, wszystko macał. Nie wiedział, gdzie jest. Dotykał, to się bał czegoś dotknąć. Bał się wszystkiego.

Ale sprawa taka najbardziej... na dowód tego, w jakich warunkach musiał być przetrzymywany, że tam nie było nic, żadnych warunków sanitarnych... Musiała tam być jakaś rura albo coś takiego, bo jak się załatwiał, to nie załatwiał się do muszli, w życiu nie. Załatwiał się na podłogę i ten kał brał do ręki, i chował go gdzieś za ubikację. Jak to możliwe do ręki wziąć i do szmaty. [autoryzacja – niejasne zdanie] Nie wiedział, że tu się można wysikać. To znaczy, że nie było u nich ubikacji, że musiała być tam jakaś rura, że on nie trafiał się tam załatwiać i musiał brać do ręki i wrzucać do tej rury! No bo jak inaczej, do czegoś musiał być przyzwyczajony.

Ma brodę pokaleczoną, szramę ma, ale i na nogach ma do dziś dnia takie ślady. Nie wiadomo, czy wiązany



był, czy co. Wokół kostki ma blizny, koloru czerwonego, ciemnego. Na rękach nie widać, żeby miał. Pytałem, skąd to ma, jakoś tak nie chce powiedzieć. Może się jeszcze boi, żeby go nie uwiązać?

I tutaj właśnie całe jego przystosowanie do życia. Pan Baj, tak spotkaliśmy się u niego w domu i rozmawiamy, mówi: „*Ja nie wiedziałem, że on się w ogóle będzie nadawał do życia w domu.*” Myślał po prostu, że trzeba będzie go od razu oddać na leczenie do szpitala. Ale Stefan nie nadaje się do szpitala, on nie musi być w szpitalu. Jest tu zbadany i stwierdzono, że przez cały okres pobytu tam, on był dwa lata w szpitalu [autoryzacja – którym szpitalu], nie podawano mu żadnych środków psychotropowych. Po prostu jest mu to niepotrzebne.

Po jakimś miesiącu, dostaję do domu telefon. Przedstawia się doktor Kowalska, jest kierowniczką przychodni ogólnej w Nowej Soli. Przetawiała się i mówi, że dostała z Zielonej Góry zarządzenie, polecenie, żeby zbadać stan zdrowia brata. Ale ja powiedziałem, że ja przy sobie mam tylko paszport ruski. Nie mam nic absolutnie więcej. To jest nieważne, ważne żeby przyjść i że ma polecenie takie od dyrektora, że ma przeprowadzić badania. Poszliśmy tam, ona tak ogólnie popatrzyła i mówi: „*Ja diagnozy żadnej nie mogę postawić, tylko trzeba będzie skierować do szpitala, w szpitalu zrobić wszystkie badania i potem podejmie się, czy dalsze badania, czy leczenie.*” Ale on po takim krótkim pobycie tutaj u nas – nie chcieliśmy go oddać do szpitala. Żona mówi: „*Nie oddawać go, dopiero co przyjechał i znowu do szpitala, niech zostanie w domu.*”

No i drogą okrężną załatwiliśmy, przez znajomość, wszystkie badania, krew, moczu, wątrobowe sprawy. Potem drugi lekarz w przyspieszonym trybie zdjęcia płuc i wszystko. Potem opis tego wszystkiego zebrałem, potem jeszcze do dentysty, dentysta zobaczył, jaki stan uzębienia. Ja też oglądałem, to mówił, że na tyle lat, co on tam przesiedział, w takich warunkach, uzębienie jest dobre, brakuje mu tylko kilku zębów. Miał tylko kupę takiego osadu. On chorował na szkorbut, po prostu niedożywienie. Serce, krew miał bardzo dobrą. I powiedzieli, że zadziwiająco na takie warunki. Organizm był wyniszczony, do niczego, całkowicie, chudziutki niesamowicie, ale krew i moczu miał dobre. Pracę serca bardzo dobrą. Natomiast z płucami – bliznę miał, ale zaleczona. Lekarka powiedziała, że nie zagraża środowisku jego stan choroby płuc.

I dopiero tutaj cała nauka. Całe dni, wszystko z żoną, na jego przystosowanie do życia poszło. Do wanny, do kąpieli nie mógł w żadnym wypadku wejść, bał się wanny. Nie wiedział, co to jest. Okropnie bał się tam wejść. Co ja się namordowałem nad nim i wszystko pokazywałem, i mówiłem. Do załatwiania się – musiałem mu normalnie praktycznie wszystko pokazywać. Musiałem sam siadać na kiblu, pokazać mu jak się siedzi. Później sam z nim chodziłem: „*Zdejmuj spodnie*” — zdejmuję. — „*Usiądź sobie*” — bał się na to usiąść, siedział jakby był poparzony. A teraz już idzie sam i usiądzie sobie jak człowiek. Tak samo do wanny. I tak pozornie wygląda teraz, że musiał być źle kąpany, źle myty, okropnie brudny. Jeszcze do dziś dnia jak wodę się dość ciepłą przygotowuje i się wleje troszeczkę mydła do kąpieli i on troszeczkę posiedzi, to wierzcie albo nie wierzcie, moja rodzina cała, łącznie z wnuczkami, gdyby się wykąpała, nie byłoby tyle brudu, co po nim jednym. Jeszcze teraz. Nie uwierzyłby nikt.

Ogolić to się sam ogolił, ubrać – sam się ubrał, taki akuratywny w tych sprawach, tylko mówił: „*Po co się golić, jeszcze nie mam dużej brody.*” Potem pytam się: „*A ile razy was strzygli?*”, przecież on był zawsze na głącowę. Strzygli raz w miesiącu, i golili, i strzygli. Tak pytałem, czasami odpowiadał. Ile razy, gdy nie uczesał sobie włosów na przykład, to mu mówię: „*Słuchaj no, ty wiesz, co cię czeka, jak nie będziesz czesał włosów? Na kolano i już.*” On mówi: „*Maszyną?*” — „*Tak. Tak jak ciebie tam strzygli maszyną.*” Wiedział, że to się maszyną strzyże. Ich nie golili, brody też strzygli maszynką. Teraz dwa razy czy trzy w tygodniu goli się. Przygotuję mu maszynkę, żyletkę, on sobie sam włoży, znajdzie, czy żyletka jest, nad lustrem się zapala, to sobie sam zapali, o, tyle już jest nauczony.

Zęby, mycie zębów, jaki to kłopot był. Tamta lekarka stomatolog, dała mu takie płyny do płukania ust, maść do dziąseł, bo okropny miał szkorbut, dziąsła miał w stanie oplakany i powiedziała, że trzeba go zachęcić do mycia zębów. Nie mył, nie wiedział, co to jest mycie zębów. Kupiliśmy mu szczoteczkę i pastę o przyjemnym zapachu. To jak zaczął myć, to mógł myć cały dzień, tak mu się spodobało. Ale nie mogliśmy mu pozwolić, bo to nie tylko same zęby, ale on szorował dziąsła, te odrywały się od zębów i zaczęły mocno krwawić. A czym więcej mył, tym więcej go swędziło. I wściekał się po prostu. Piana z pasty była razem z krwią, a on dalej szorował. Jeszcze do dziś, jeżeli mu się nie zwróci uwagi, że ty masz tylko trochę myć, a już wie, że tylko „niemnego”, to krwawić mu będzie.

Początkowo jadł, co mu się dało, suchy chleb, nie suchy chleb. Gorące jedzenie, żona zdjęła mocno gorące, postawiła na stół, to on normalnie, nie żeby ziemniaka przedzielił na pół, podmuchał troszkę, tylko takie, jakie są. Prawdopodobnie ze względu na to... bo on coś takiego przypomina jak je, że na połowę się dzielić będzie, to znaczy, że on tym posiłkiem, co mu dali musiał się z kimś dzielić, a może mu zabierali. Musiał się tak mocno spieszyć, żeby szybko zjeść. Ten odruch szybkiego jedzenia jest w nim silniejszy od tego, że to gorące. Teraz już trochę stał się bardziej wybredny, patrzy z czym chleb jest, bo zawsze staraliśmy się mu dogodzić, żeby mu dopasować – to chleb z jajkiem, to z serem, to kielbasą, to z mięsem... Tak na zmianę. Przedtem nie zaglądał nawet czy był suchy, zmiótł i koniec. Teraz już patrzy, z czym chleb jest. Tak jak teraz – zje kawałeczek ciasta i wie, że to jest ciasto, a przedtem obojętne mu było. Nie rozróżniał, czy to ciasto, czy chleb.



Telewizor początkowo go nie interesował, nic, jakby nie było. Tak tylko popatrzył trochę. Teraz jest zainteresowany sportem, obojętnie – byle sport. Czy wyścigi samochodowe, wie, że to sport, wie, że to są wyścigi. Pytam go, to mówi, że to są zawody sportowe. A film kryminalny, kraty, to niechętnie patrzy. A jak patrzy, to nie siedzi tu, ale chodzi i od czasu do czasu tak bokiem rzuci na telewizor. Tutaj przychodził wnuczek i ja mu pokazywałem bajki, pokazywałem przedszkole domowe lub coś takiego – to przyjmuje. Animowane też bardzo lubi. Jak jest jakaś komedia, bijatyka, coś takiego, ale śmieszna, jak baba leje chłopa, to się śmieje z tego.

Co jeszcze – reakcja na kraty. Wychodziliśmy na miasto, to musiałem na niego uważać, żeby nie wpadł pod samochód. Ale on jak tylko gdzieś uszedł, bank przypuścimy, tu jest bank za kratami, jest szpital niedaleko, też za kratami. Jak tylko kraty w oknach, to on staje i patrzy. Pytam, co tobie się z tym kojarzy, a on mówi, że to jest ciurma, że więzienie. Mówię: „A ty byłeś w takim więzieniu zakluczony?” — „Nu da.” — mówi. Więc te kraty coś mu przypominają.

On na przykład z okazji imienin, urodzin, święta, kiedy składamy sobie życzenia, całujemy się, on tych uczuć nie ma. Jest pozbawiony tego wszystkiego. Poglaska kota, uśmiechnie się do niego. W domu zadomowiła się mysz i nie wiem, może to tylko chodzi o przyjaźń z ludźmi, stracił wiarę do człowieka, a ze zwierzęciem ma jakiś kontakt. Może to jest to, że zwierzę nie wyrządziło mu żadnej szkody. My tego kota przynieśliśmy na mysz. Poszliśmy na działkę, bo działkę mamy, i my obaj przynieśliśmy kota. Złapaliśmy na działce i przynieśliśmy do domu. Ja go złapałem, a on go trzymał w torbie i z tą torbą przyniósł do domu. I jest uważane, że to on kota przyniósł, że to jego kot. I on do niego ma taką przyjaźń! On go pogłaska, nawet przytuli do siebie. Co do człowieka ani dzieciaka żadnego nigdy tego nie było.

Zagraliśmy tutaj w domino. Rozłożyliśmy domino: „*Chodź, będziemy grać.*” Siada, odkrywamy kamienie, wszystko tak jakby zawsze w to grał. I liczymy kamienie, tak gra. Liczy normalnie. Pisać nawet dość dobrze pisze po rosyjsku, po polsku nie. Ale nauczyłem go, może mu się trochę przypomniało z pisowni polskiej, w każdym razie nie miał za wiele kłopotu, żeby się podpisać swoim nazwiskiem. Nawet na dowodzie osobistym ma podpisane swoim nazwiskiem i po polsku. Jak się podpisuje, to pyta, jak się podpisać, po rusku, czy po polsku. „*No a jak cię nauczyłem, po polsku trzeba się podpisać.*” Ja wnioskuję, że coś niecoś, taka mała pamięć... w każdym razie całkowicie nie jest zablokowany.

Nie umie rozmawiać po polsku. Kiedyś próbowałem go namówić, żeby zaśpiewał jakąś piosenkę, chociażby rosyjską, to on się śmieje i mówi, że nie wie, nie umie. Nie wiem, może nie chce, może się jeszcze czegoś obawia. Kiedyś mu podyktowałem – temat był taki, że urodziłem się w tej i tej miejscowości, nasza rodzina składała się z sześciu osób, jak było na imię matce, ojcu, że nas było czterech braci, który rok urodzenia itd. I żona opowiadała, że jak on to napisał, to później cały dzień to czytał bez przerwy. Nie wiem, czy chciał sobie to utrwalić, czy co. Nie mamy żadnych zdjęć przedwojennych niestety. Szukałem po swojej rodzinie, po siostrze mamy, nic nie mają. Jedno jedyne zdjęcie mieli, to trzymają na pamiątkę i nikomu nie dają.

Na zegarku się zna, kupiłem mu zegarek, dlatego ile razy pytałem się, która jest godzina, popatrzył i mówi ta i ta. Jeżeli teraz jest wpół, to powie wpół, ale jeżeli np. jest dwadzieścia po dwunastej, to oni mówią, że to jest dwadzieścia minut pierwszej. To tak mówi zawsze. Kupiłem mu zegarek, ale nie zawsze pamięta go nakręcić. Gdy bierze się do mycia, to go zdejmuje, kładzie na miejscu, ale nie zawsze pamięta go nakręcić. No ale czas go nie interesuje. Pytałem go: „*Stefan, słuchaj, ile ty masz lat?*” To on rachubę czasu stracił, mówi, że ma 30. Wie, że jest rano, wieczór, poda wszystkie miesiące po kolei, dni tygodnia też wie, wszystko po kolei wie.

Bardzo pomalutku odtwarza mu się wszystko. Ale bardzo pomalutko. Np. w telewizji coś leci. Kiedyś pokazywałem mu, jak zwalali Lenina i mówię: „*Ty widzisz kogo tam zwalają?*” — A on mówi: „*Lenin, czy szto?*” Mówi, ale jest niepewny, mówi, że to jest ta osoba, ale nie wie, czy to jest na pewno to. Jedzenie ma postawione, ale pyta się, czy to jeść, czy nie. Na wszystko, o co się go pyta, mówi, że nie wie, on nic nie wie. On nie będzie robił.

Kiedyś, jak wstał, to nie podszedł ani kroku z miejsca, w którym stał, nie ruszył się. Stał jak manekin. Do okna nie podszedł, jak podszedł, to najwyżej gdzieś trzy kroki od okna. Sam, ale nie bliżej niż dwa, trzy kroki, w żadnym wypadku bliżej. Pytam się: „*Czemu ty nie idziesz? No idź, zobacz przez okno albo tak popatrz.*” — „*Nieźlia.*” Jemu tam zakazywali, tam nie wolno było bliżej podchodzić. I tak przez dłuższy czas. Teraz dopiero parę dni temu, pozwolił sobie, jeżeli otwieramy okno, oprzeć się o parapet. Bał się jak ognia podejść do okna i oprzeć się o parapet. Na balkon wejdzie i zaraz ucieka, nie wiem, czy ma lęk przestrzeni, czy to nie wolno.

Na spacerze interesuje go wszystko. Nie zadaje pytań, tylko np. stoją samochody albo jadą jeden za drugim, to on stoi, patrzy i ogląda się, co się dzieje. Nie widział tego, jak siedział zamknięty, nie widział tego, że tyle samochodów może być. I po prostu liczy te wszystkie samochody jak jadą. Cały czas do siebie mówi, jeżeli coś ogląda, to głośno mówi, czyli głośno myśli można powiedzieć. Jeżeli coś mówi, troszeczkę głośniejsze, a ja staram się podsłuchać, to on ścisza ton i tylko szepcze. Prawdopodobnie boi się, jeszcze nie jest pewien.

Na mundurowych ma taką reakcję, że stara się nie patrzeć na nich, wzrok zaraz w dół. Tutaj są radzieccy żołnierze, ale jaki by nie był mundur, to on zaraz tak reaguje, nie patrzy, w dół patrzy i koniec.

Przywiązuje się do swoich przedmiotów. Przypuścimy zamienię mu poduszkę i inną poduszkę daję do spania, to na tę inną się nie położy, tylko pyta, gdzie tamta się podziała. Jeśli mu się zmienia pościel lub ubranie, to



pyta, po co. Z samego początku było mu obojętnie, mogłem na niego włożyć, zdjąć, on nic nie mówił. A dziś zaprotestuje, dlaczego tak robię. Jeśli mu zmienię spodnie albo inne ubranie, to pyta, dlaczego mu zmieniam, to jeszcze jest czyste. Mówię mu: „*Według ciebie czyste, a według mnie już mocno brudne.*” Ale u niego, tak myślę, brudne to musi być nakładane łopatą brudu, wtedy jest brudne, a taki powierzchowny brud... nie uważa tego.

Odbicia w lustrze bał się, bał się na siebie patrzeć. Ale dzisiaj widzę, że normalnie od czasu do czasu idzie do łazienki, stanie sobie przed lustrem i po prostu... Może coś sobie przypomina? W każdym razie nigdy tego nie było, a teraz jest w łazience – no to trzeba zobaczyć. Uchylone są drzwi, więc ja cichutko wejść, zwrócę uwagę i nic mu nie mówię, po prostu rzucę okiem, on nie zdąży nawet zorientować się, o co chodzi, ale wiem, że normalnie przygląda się na boki, tak na twarz, obmacuje się, uszy. Po prostu wszystko, może nie wie, że to jest on, może sobie musi przypominać. Niewiadome jest, trudno to określić, ale to jakieś oznaki są, że jest zainteresowany sobą.

Dawałem mu teksty rosyjskie, czyta je tak, że jak ja koło niego będę, to mówi głośniejszym szeptem. Kupiłem kiedyś na targu książkę „*Nasz Les*” taki tytuł, ona jest w wydaniu angielskim, francuskim, w kilku wydaniach i w ruskim też. Tam są zdjęcia, opisują zwierzęta, las, jak oni się zachowują. I dałem mu do czytania, czyta płynnie. Pytam się: „*O czym ty czytasz?*” Mówi, że o lesie, o zwierzętach: „*O jakich ty zwierzętach czytasz?*” — „*O wilku, o niedźwiedziu.*” Ale różnica teraz – jakiegoś zwierzęcia innego podstawilem i próbowałem mu wmówić, że to jest całkowicie co innego, na wilka mówiłem mu, że to jest osioł. Miał taką reakcję, że zaraz potrafił powiedzieć, udowodnić, że to nie jest to, co mówię.

Raz w domu się okropnie zdziwili, myślałem, że Stefan rzuci się na mnie. Poszliśmy na działkę w końcu lutego i malowaliśmy drzewka wapnem na biało. Potem siedzieliśmy w domu – moja żona, ja i on – i oglądaliśmy coś w telewizji. Żona pyta: „*Gdzie byliście?*” — „*Byłem na ogrodzie.*” — „*Z kim byłeś, z Jankiem?*” — „*Tak.*” — „*A co tam robiliście?*” Ja mówię: „*Drzewka bieliliśmy.*” — „*Bieliliście drzewka?*” — „*Tak.*” — „*A na jaki kolor malowaliście?*” I ja powiedziałem, że na czarno i sam się uśmiełem z tego, a żona była w strachu. Po prostu reakcja była tak silna... wstał z miejsca. Jak żona spytała, to on, że na biały, „*Na jaki?*” — „*Na biały!*” Ja znów: „*Co ty, na biały? Na czarny malowaliśmy.*” A on jak wstał: „*Na biały, a nie na czarny.*” Ze złością. Myślałem, że się rzuci na mnie. To była taka prawdziwa reakcja, że on dobrze myślał, nie ma całkowicie zabitego rozumu, potrafi rozumieć wszystko. Ale musi być mocno wzruszony albo coś takiego.

Takie pojęcia jak dobro, zło, nie oceniałem tego jeszcze, czy on potrafi to rozróżnić. Ale że coś złe robi i za to się go skarci, to zamiast mieć taką pokorę, to on sobie to żartem obejmuje, uśmiechnie się. Żeby jakąś pokorę miał, to nie. Może uważa, że to nie jest aż tak mocno szkodliwe, żeby aż tak strasznie przeżywać, tak jak dużo ludzi przyjmuje, że to jest takie zło mniejsze, że nie warto tego zachodzenia i on się uśmiecha do tego?

Byliśmy z nim u psychiatry. Siadamy. „*O co chodzi?*” Normalnie powiedziałem o co chodzi, że w ramach ogólnych badań jest zlecone przez ZOZ z Zielonej Góry i jesteście tutaj, żeby zbadać. Od razu do niego, pyta po rosyjsku, on też był w Rosji trochę, Stefan trochę mu odpowiedział. Tamten podał mu długopis, co to jest, do pisania, i wszystko – co to jest. To Stefan mówił. Później dałem lekarzowi wszystkie dokumenty. Przeczytał i mówi: „*Trudno coś powiedzieć, później zobaczymy.*” Ale dał środki uspokajające, jeszcze jakieś inne tabletki. Normalnie tych tabletek nie było, więc poszedłem do takiego sklepu charytatywnego „Solidarności”, do lekarza w tym sklepie. „*A skąd ta recepta?*” Mówię, przypisał taki i taki lekarz, że to ma być dla brata. „*A na co panu te leki? Pan brata po to sprowadził, żeby on wiecznie spał? Takie leki to on bez przerwy tam dostawał.*” I myśmy mu kilka razy podali i zaprzestaliśmy. Stefan był po nich w stanie oplakany, obłąkany, oszołomiony. Po prostu wzrok przewrócony, białka widać... I zaprzestaliśmy w ogóle dawać mu teleki. Teraz nic nie dostaje, absolutnie nic, oprócz witamin w związku z zaleconą gruźlicą, zapobiegawczo.

On lekarzy się nie bał. Przychodzi, jest pokorny, jakby na rzeź szedł, tak wygląda. Przyprowadzi się go, to w pierwszym momencie jest jakiś taki zaszokowany, nie wiadomo, co się z nim stanie, a później mu tłumaczę, że to jest lekarz, ty jesteś chory, doktor musi cię zbadać. No to on jakoś tak, drgawek nie ma, ale trzęsie się. Jakąś taką reakcją bojaźni.

Wzrok ma dobry. Wspólnota Krajów Europejskich, te gwiazdki mają, mają ich 12. Ja je dwa razy liczyłem i wychodziło mi 15. On też siedział, spytałem: „*Liczyłeś te gwiazdki, ile ich jest?*” — „*Co?*” — „*Tych małych gwiazdek, ile tam było?*” — „*12.*” Mówię: „*15.*” I znówu powtórzył: „*12!*” To znaczy, że on ma dobrą reakcję, bardzo szybko, ja liczyłem i takie wątpliwości miałem. Liczyć bardzo szybko liczy.

Można go zostawić samego w domu i on absolutnie nic nie robi. Sam sobie nie pójdzie wziąć jeść, jak mu się nie poda, to nie ruszy. Nawet przy stole, uczymy go tego, przypuścmy, żeby sobie wziął sam masło, chleb, żeby sobie posmarował, tak żeby go nie oddzielać od siebie, żeby on nie pomyślał, że mu oddzielamy, masz to, masz to i jedz sobie. Uczymy go, a on jednak tak jakoś po swojemu stara się zrobić to wszystko.

Po jego powrocie zaczęliśmy się starać, żeby on został w Polsce. Przyjechał tylko na zaproszenie i musiałby jechać z powrotem. Jakoś los się uśmiechnął w tej sytuacji. W którymś numerze naszej gazety „Nowej” ukazał się artykuł profesora Uniwersytetu Toruńskiego na temat praw obywatelskich. Jakoś tak się złożyło. Bo taka kolejność rzeczy jest. Jeżeli on ma prawo obywatelstwa radzieckiego, to trzeba było wystąpić do wojewody zielen-



nogórkiego o zezwolenie stałego pobytu w Polsce, potem wystąpić o przyznanie mu praw obywatelskich, prawa obywatelskie znamy, kto nadaje i po jakim okresie pobytu w Polsce, trzy lata są wymagane, czy ileś, a dopiero wtenczas, po uzyskaniu praw obywatelskich można wystąpić o emeryturę, o rentę, o inne prawa, takie jakie przysługują wszystkim obywatelom polskim. Ile lat trzeba by było czekać! Ten artykuł między innymi poruszał sprawę taką, że prawa radzieckie nam narzucili Rosjanie w 1939 roku, a nie zostaliśmy pozbawieni praw według prawa polskiego, zarządzenie prezydenta z 1928. Tak coś mniej więcej jest, że Polacy nie tracą praw obywatelskich, nawet gdyby zrodzone były dzieci z małżeństwa, ale mających prawo obywatelstwa polskiego, są obywatelami polskimi i mają prawa obywatelskie polskie. [autoryzacja – niejasne z tym obywatelstwem] I zaraz latać z tym wszystkim. Jest podstawa. Ale tak naprawdę to rozporządzenie nie ma zastosowania u nas. Tylko że u nas taki jest bałagan, że w tym bałaganie wszyscy zaczęli uważać tę podstawę za prawo. Liczyliśmy na to, że może się z tego uda skorzystać. Myśleliśmy, że może na litość... W każdym razie, udało się.

Podstawowa rzecz, to prawa obywatelskie. Najsamprzód musi mieć metrykę urodzenia. Więc do urzędnika praw obywatelskich – zaczęliśmy tam chodzić, w Nowej Soli. Tam gdzie Stefan teraz zamieszkuje trzeba wystąpić z wnioskiem do Urzędu Stanu Cywilnego o wydanie metryki na podstawie świadków. Wniosek zrobiłem, ale kierowniczka Urzędu Stanu Cywilnego mówi, że trzeba poczekać, bo ona nie może, chociażby chciała. Musiała wysłać papiery do Warszawy do Urzędu Spraw Obywatelskich, a tam archiwum jest wschodnie, więc może do tego archiwum, w każdym razie, że tam jakieś akta z tych terenów polskich są. I ona stamtąd by musiała mieć potwierdzenie, że w tym archiwum nie znajduje się adnotacja o takim a takim człowieku, że nie powrócił z tamtych terenów. Wtedy będzie podstawa. Przyszła odpowiedź, że nie istnieje, że nie ma w aktach. I na podstawie mojego wniosku, mojego zeznania, wszystko spisała i zeznania drugiego świadka, przypadkowo przyjechał wtedy kuzyn, metrykę załatwiliśmy.

A teraz sprawy obywatelskie. I właśnie z tą gazetą pan Baj zakręcił się trochę w Urzędzie Spraw Obywatelskich w województwie zielonogórkim, do dyrektora poszedł, porozmawiał z nim, z tą gazetą, i w końcu telefon otrzymałem z Zielonej Góry od dyrektora Urzędu Spraw Obywatelskich, że jestem umówiony z tym dyrektorem, żebym przywiózł ze sobą odpowiednie dokumenty. Wszystko spakowałem, paszport, metrykę, co tutaj wyrobiłem, wszystkie dokumenty ze starań o jego przyjazd, i tam z panem Bajem siedzieliśmy dosłownie ze trzy godziny. Ten dyrektor zwołał swoją całą organizację, tych kierowników działów poszczególnych i – co z tym zrobić. Trzeba to było załatwić od ręki, a nie odwlekać. Dziś postanowić tak albo nie. No i w końcu, ten dyrektor to był taki na rękę, fajny facet, mówi: „Co tu mamy dużo do szukania, mamy tu jasną sprawę, urodzony jest w Polsce, pisze, to znaczy, że jest Polak.” i tego się uczepili. Potem, że po przeczytaniu tej gazety, mają prawa obywatelskie, choćby nawet urodzeni byli tam w Rosji. A on jest urodzony w Polsce. Jest dowód. „Więc mamy podstawę przyznać mu prawo obywatelskie od ręki.” Postanowili raz dwa, zgadzają się wszyscy jednogłośnie, no i czy my poświadczamy jeszcze to wszystko z panem Bajem. I od ręki teleks do Warszawy, że przyjadą z taką sprawą i za trzy dni miał już przywiezione prawo obywatelskie z Warszawy.

To był cholerny pośpiech. To jest tak, że ludzie dobrej woli, jeżeli chcą, to coś zrobią, a jeżeli nie chcą, to nic nie robią. Jeżeli ktoś potrafi decydować sam, jeżeli sam jest przekonany o słuszności swojej sprawy i jeżeli on to dobrze robi, to on to wykona, a jeżeli człowiek jest niepewny swojej pracy, przypuśćmy ta kierowniczka [autoryzacja – jaka kierowniczka], ona chciała koniecznie wpisać, że urodzony w ZSRR. Mówię jej o tym całym wniosku, tam jest napisane, że jest urodzony w Polsce, a ja jej mówię: „Niech pani napisze w metryce miejscowość, a niech pani nie pisze ZSRR.” Ona tak jakoś i odstąpiła od tego, nie napisała w końcu. [?] „Tu w paszporcie jest napisane, że on jest w Polsce urodzony.”

Tekst nie autoryzowany.

Nagrali: TOMASZ KOWALSKI i JAROSŁAW SZKWARKOWSKI

Gorzów Wielkopolski 1992

Spisała: STANISŁAWA ŚWIERKOWSKA

Opracowała: BARBARA FABIAŃSKA

Ośrodek KARTA w Poznaniu